

KAMENIA WIMCENIA

DWUTYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY

LUBLIN — BIAŁYSTOK — KIELCE — RZESZÓW

LUBLIN

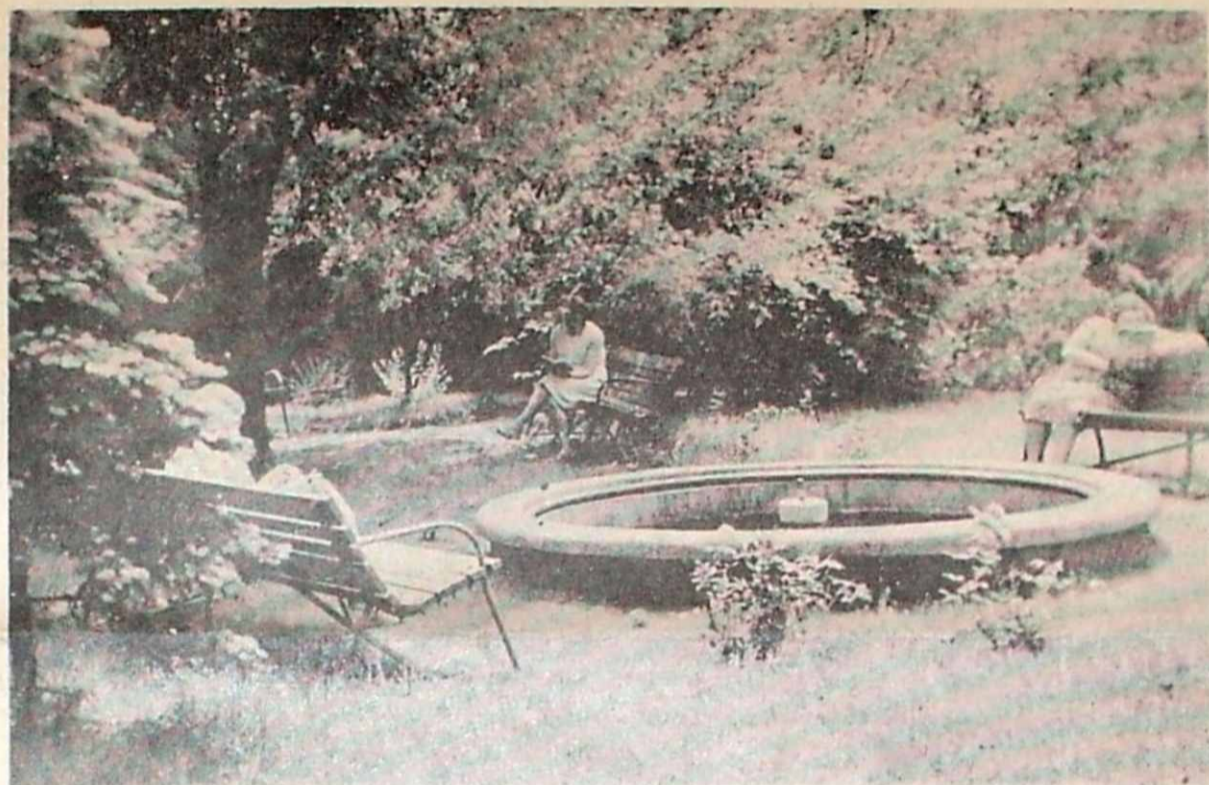
31.VII.1963

Nr 11 (276)

ROK XXX

CENA 2 ZŁ

LETNIA CZYTELNA BIBLIOTEKI IM. H. LOPACIŃSKIEGO
W LUBLINIE



NARESZCIE DZIEŃ X

WINCENTY KAWALEC

DZIEN ucieczki — 19 września 1943 r. nie różnił się niczym w naszym życiu obozowym. Była niedziela, pogoda prawdziwie wrześniowa, taka, jak 4 lata temu, pamiętnego września 1939 r.

Życie obozowe toczyło się swoim torem i nikt się nie spodziewał, że dla 47 jeńców rozpoczyna się nowy okres. Wypadki wkrótce pokazały, że okres bardzo tragiczny. Pozostająca w obozie masa 2700 jeńców nie przypuszczała, iż mała garstka ludzi rzuci wyzwanie Wehrmachtowi, całemu aparatowi bezpieczeństwa Rzeszy i przystępuje do walki o wolność, o wypełnienie swego obowiązku żołnierskiego, bez względu na okoliczności. Nawet na mojej sali mieszkalnej nikt nic nie wiedział. Wszyscy, wiedzieli, że przygotowuję sobie ucieczkę, współdziałali ze mną, ale nie wiedzieli, że to jest dzisiaj.

Apel zapowiedziano o osiemnastej. Bezpośrednio po apelu miała być koncentracja do wyjścia.

Starłem się być spokojny. Nie myśleć. Ubranie z koca, 45 marek niemieckich, trochę jedzenia, buty cywilne, kanadyjskie, krawat z flanelowej koszuli — wszystko to było gotowe. Następnego dnia, w poniedziałek, o godzinie 11 miałem wyznaczony egzamin u mojego profesora prawa, który prowadził kursy uniwersyteckie prof. dr Jana Wasilkowskiego. Egzamin z prawa cywilnego miał dotyczyć problemu zwłoki dłużnika.

Na ten temat z kodeksu zobowiązań miałem właśnie mieć referat następnego dnia. Solidnie, jeszcze w niedzielę przygotowywałem się do tego egzaminu i referatu. Gdy w 1945 r. zgłosiłem się na Uniwersytet Warszawski do prof. Wasilkowskiego, ten powitał mnie słowami: „Ucieki pan z obozu — byle nie zdawać u mnie egzaminu — jest pan w zwłoce dłużnika”.

Był to sympatyczny żart profesora. Jedyną osobą, której się zwierzyłem co do terminu ucieczki, był mój profesor, dr Tadeusz Pasierbiński. Jego serdeczne rady i przestrogi bardzo mi pomogły. Poprosiłem na zakończenie profesora o przekazanie mi jego cennych materiałów, ukrywanych przed Niemcami, celem — jeśli mi się ucieczka uda — przekazania ich w kraju.

Materiały te otrzymałem i dostarczyłem pod wskazany adres. Istnieją one dotychczas. Nie dotknęła ich ręka niemiecka, mimo kilkuletniego ich przygotowywania w obozie.

Również apel był normalny. Oficerowie niemieccy spieszyli się do miasta, wartownicy stali na wieżach.

Życie jenieckie toczyło się normalnie. Nic nie wskazywało na bliską tragedię wielu ludzi. Pamiętam, że w czasie apelu spostrzegłem za drutami patrol z psem policyjnym, zda-

(Dokończenie na str. 8)

Refleksje poegzaminowe

JANINA
GARBACZOWSKA

PISZE się o tym rokrocznie — do znużenia. Ocenia się i krytykuje programy, szkoły, kandydatów, wysuwa postulaty. A jeszcze przedtem, przed egzaminami, w maju, urządza się zebrania na tematy tzw. „rekrutacyjne”, informując młodzież klas ostatnich o studiach wyższych i nawołując do wyboru zgodnie z zamiłowaniem i zdolnościami. Co więcej, ostrzegając przed wyborem przypadkowym.

Po tych zebraniach — w poczuciu spełnionego dobrze obowiązku — czekamy w uniwersytecie na kandydatów „nie z przypadku”. Już wszakże w czasie egzaminów rozwiewają się milie nadzieje, a po egzaminach — prócz potwornego zmęczenia — jakiś smętny „kociokwik” i bardzo niewiele satysfakcji, że jednak parę osób (na ponad setkę kandydatów) przychodzi na polonistykę z zamiłowaniem.

Wiemy skądinąd, że wielu młodych ludzi obdarzonych dużymi zdolnościami humanistycznymi wybiera studia techniczne, lekarskie czy prawnicze. Co więcej, chyba bez ryzyka odpowiedzialności za słowo powiem, że właśnie najzdolniejsi uciekają od humanistyki. Mówię oczywiście o uzdolnionych wielostronnie. Na co liczą? Na posady lepsze niż nauczycielskie i — duże zarobki. U źródeł tych nadziei i perspektyw — dotyczy to przede wszystkim techniki — tkwi mój protektorat państwa w rozmachu budowy i rozbudowy.

Ale młodzież widzi swą przyszłość nie tylko w poważnej pracy: miraż przyszłych zarobków — powtarzamy — lepszych niż po ukończeniu humanistyki — gra tu rolę zasadniczą. Jakże żałośnie wygląda na tym

tle perspektywa trudnej, ofiarnej i szczytnej pracy nauczycielskiej, wciąż wynagradzanej niewysoko, i to jeszcze w środowisku ewentualnie małym, prowincjonalnym.

W ostrym i niesłusznym przeciwstawieniu: technika i humanizm — tkwi jakieś dziwaczne nieporozumienie, którego skutkiem jest bardzo często wybór studiów najzwyklej przypadkowy. Ofiarami tej przypadkowości padają zarówno kandydaci, jak uczelnie wyższe. Kandydaci, bo trudno wchodzi w tok pracy; uczelnie, bo otrzymują element mało wdzięczny, z początku oporny, nie zamilowany. Niektórzy odchodzą dość szybko, inni uporem i solidną pracą osiagają poziom niezłych studentów, niewielu rozsmakowuje się w obranej dyscyplinie. Rzecz jasna, że w gromadzie zgłaszającej się na humanistykę jest chyba zawsze 10 procent młodzieży zamilowanej, której ani namowy rodziców, ani przykład kolegów nie odwidają nigdy od tego, co jest ich pasją.

W takim oświetleniu sytuacja na egzaminach polonistycznych i wizja pierwszego roku polonistów stają się dość wyraźne.

Gromada kandydatów, ponadstusosobowa, nie olśniła nas ani wiadomościami, ani — poza wspomnianymi dziesięciu procentami — nie wykazała istotnych zamiłowań do literatury. Będzie co robić w nowym roku akademickim.

Jak wyglądały wypracowania pisemne? Na ogół — lepiej niż w latach ubiegłych. Lepiej, to znaczy nieco poprawniej językowo i mniej wulgarnie w interpretacji utworów lite-

rackich. Całkowicie bez wulgaryzowania oczywiście się nie obyło. Okazji dostarczyły tematy literackie, bardzo pod tym względem „siłopróbne”: o stosunku obywatela doby dzisiejszej do „Nieboskiej komedii” Krasieńskiego i — o ulubionym przez kandydata i pisarzu współczesnym polskim lub obcym. „Nieboską” co najwyżej streszczano niezbyt dojrzałe, nie umiejąc ukazać wyraźnie jej ostrej problematyki, a „rozważania” nad dramatem „wykazywały”, że Krasieński to po prostu wstecznik. Ktoś nawet przedstawił Pankracemu... Lenina. Nię umiano się podjąć dyskusji z ideologią poety. Niemniej — ta 1/4 część piszących o „Nieboskiej” wykazała jaką taką znajomość treści utworu będącego na liście lektury szkolnej.

Trzy czwarte młodzieży pisało — po połowie: o ulubionym pisarzu i o swej przyszłej pracy po ukończeniu studiów. Jakich więc pisarzy prezentują kandydaci na polonistów jako szczególnie sobie bliskich? Wybór — rzecz jasna — należało uzasadnić. Ten temat był na pewno problemem zainteresowań czytelnicy, a tym samym — zamilowania do literatury. Ponadto — nie zapominajmy — opracowywały go nie 16-latki, bo na metrykach przeważnej liczby zdających figurowała jako data urodzenia cyfra 1945. A więc — młodzież osiemnastoletnia. Bywali i starsi. I nie by nie było dziwnego w tym, że w większości przypadków wybrali dwu pisarzy wybitnych: Leona Kruczkowskiego i Władysława Broniewskiego. Nie by nie było dziwnego, gdyby... Właśnie — gdyby. Bo oto z całej puścił zny Kruczkowskiego wiedzieli niemal

(Dokończenie na str. 4)

ZAANGAŻOWANIE- czynnik nieodzowny

EDWARD NADULSKI

MATERIAŁY XIII Plenum Komitetu Centralnego, a przede wszystkim referat tow. Władysława Gomulki o aktualnych problemach ideologicznej pracy Partii, stanowiąc będą podstawowy dokument w działalności wszystkich organizacji partyjnych i członków PZPR. Na XIII Plenum w sposób gruntowny i bardzo szeroki zostały omówione wszelkie formy ideologicznego oddziaływania. Dużo uwagi poświęcono zagadnieniom działalności kulturalnej, działalności artystycznej w zakresie literatury, filmu, telewizji, radia i innych dziedzin kształtowania świadomości socjalistycznej naszego społeczeństwa. Zwrócono uwagę naszych twórców na osiągnięcia w rozwoju społeczności socjalistycznej pod kierownictwem partii marksistowsko-leninowskiej. Po raz pierwszy na Plenum zostały omówione tak obszernie wartości, jakie powinny stać się przedmiotem upowszechnienia kultury, omówiono rolę działalności placówek kulturalno-oświatowych na tle zachodzących przemian społecznych, na tle walki mas pracujących całego świata o społeczne i narodowe wyzwolenie.

W świetle nakreślonych na Plenum zadań duży obowiązek przypada i na nasze placówki wojewódzkie.

W województwie lubelskim, szczególnie w ostatnim okresie, powstało wiele nowych placówek kulturalno-oświatowych. W ostatnich latach oddano do użytku kilkadziesiąt wiejskich i powiatowych domów kultury, przybyło około 7,5 tys. miejsc w kinach, powstały nowe muzea regionalne i biograficzne w Chełmie, w Krasnymstawie, Prusa w Nałęczowie, Kraszewskiego w Romanowie, zorganizowano nowe działy, jak dział historyczny w Muzeum Lubelskim, powstało kilkanaście powiatowych poradni przy powiatowych domach kultury i wydziałach kultury. Działają ponad 330 ośrodków pracy kulturalno - oświatowej na wsi. Wzmógł się w znacznym stopniu ruch amatorski. Nastąpił poważny wzrost liczebny środowiska kulturo-

twórczego. Wzrosło środowisko naukowe. W dużym stopniu zwiększyła się liczba inteligencji agrotechnicznej na terenie województwa lubelskiego. Już w tej chwili liczba ta stanowi 4,1% i przekracza przeciętną krajową, która wynosi 3,8%.

Na Lubelszczyźnie istnieje obecnie około 500 (487) bibliotek powszechnych i 1.780 punktów bibliotecznych. Ilość książek w bibliotekach powszechnych przekroczyła liczbę 2 mln. Jeżeli dodamy do tego biblioteki szkolne, przyzakładowe i biblioteki działające przy wyższych uczelniach, to liczba książek przekroczy 5,5 mln. woluminów. Poważnie wzrosła liczba kin: z liczby 212 w roku 1960 do 273 w roku bieżącym, a liczba miejsc z 28.443 w roku 1960 do 35.069 w 1963 roku.

W województwie lubelskim działa około 20 stowarzyszeń społeczno-kulturalnych, 5 związków twórczych oraz 10 przedsiębiorstw i instytucji wojewódzkich, jak: WZK, Wojewódzkie Przedsiębiorstwo Imprez Artystycznych, Biuro Wystaw Artystycznych, Muzeum Okręgowe, Wojewódzki Dom Kultury, teatry, Państwowa Filharmonia, Biblioteka Wojewódzka; działa 18 powiatowych i przyzakładowych domów kultury. Jest to potężna sieć placówek oddziaływania ideologicznego i kulturalnego na społeczeństwo Lubelszczyzny.

MIMO wielu osiągnięć tych placówek na skutek wprowadzenia doskonałych form i metod działania, nie uzyskaliśmy jeszcze zadowalającego poziomu. Ale trzeba

przyznać, że posiadamy bardzo ofiarną kadrę działaczy kulturalno-oświatowych. Mamy dużo zdolnych twórców: malarzy, młodych, dobrze zapowiadających się poetów, dobrych aktorów i muzyków, mamy zasłużonych pisarzy, dziennikarzy, działaczy społecznych, przede wszystkim nauczycieli, którzy rozumiejąc potrzebę podnoszenia poziomu kulturalnego naszego społeczeństwa chętnie podejmują pracę społeczną w ośrodkach przyszłości. W dużym stopniu angażuje się też w pracę społeczną w terenie służba agrotechniczna, lekarze, zootechnicy.

Województwo lubelskie posiada największą uniwersytetów powszechnych, bo 240 i punktów odczytowych prowadzonych przez TWP (510).

Szeroko rozwijająca się działalność kulturalno - oświatowa ma dwa źródła: pierwsze — to społeczne zapotrzebowanie na wiedzę, na osiągnięcia naukowe, techniczne, chęć doskonalenia swojej osobowości; drugie — duże zrozumienie ze strony inteligencji, która włącza się czynnie w proces oddziaływania zawodowego i kulturalnego na pracę placówek kulturalno-oświatowych. Żadna inna działalność nie jest tak szeroko i w takim stopniu oparta o działalność społeczną, jak działalność kulturalno-oświatowa.

Srodki finansowe przyznawane obecnie na działalność kulturalną nie mogą jeszcze w pełni jej opłacić. Dlatego też działacze społeczni zasługują na szczególną troskę i opiekę ze strony czynników politycznych i administracyjnych. W referacie swym tow.

czytelników i rozwijającego się zainteresowania książką. Tacy ludzie wzbudzają wówczas podziw i szacunek nie tylko w swoim środowisku.

Myślą Biblioteki Powiatowej w Lublinie było, że są w terenie placówki, które mogą spełnić poważne zadanie upowszechniania czytelnictwa, o ile wzmocni się jej organizacyjnie zarówno co do zasobów książkowych, jak i pozycji samego bibliotekarza. Nie było to sprawą łatwą. Trzeba było przede

EKSPERYMENT POWIATU

MARIA GAWARECKA

wszystkim zdobywać podstawy materialne dla realizowania swoich projektów i uzasadniać racjonalność podjętego planu.

Rezultatem było przekształcenie 36 punktów bibliotecznych powiatu lubelskiego w tzw. filie biblioteczne, gdzie księgozbiory wzrosły przeciętnie do około 500 książek, gdzie bibliotekarz zaczął otrzymywać ryczałt w wysokości 150 zł miesięcznie, został ubezpieczony i poczuł się pracownikiem bardziej związanym ze swą placówką, gdzie starano się postawić pracę z czytelnikami na szerokiej płaszczyźnie współpracy z działającymi na wsi organizacjami, poprzez różne formy oświatowe.

Kierownik filii stawał się bibliotekarzem zainteresowanym swoją pracą czytelniczą, doborem właściwej literatury i warunkami pracy placówki, która miała wreszcie jakieś perspektywy dalszego rozwoju.

Jeżeli zwrócimy uwagę na liczbę czytelników na przestrzeni dwóch lat w umocnionych punktach bibliotecznych, określanymi mianem — filie biblioteczne, to zobaczymy ich poważny wzrost i kryjący za tym wysiłek bibliotekarzy.

	1962 r.	1963 r. (I kw.)
Turka	199	200
Kreżnica Jara	191	190
Snopków	231	149
Ciechrzyn	185	130
Brzezice	193	92

Co jednak staje na przeszkodzie rozwojowi placówek bibliotecznych? Ciągle jeszcze lokale i brak książek. Czytelnicy czekają na nowości i na

szereg pozycji potrzebnych im nie tylko dla wrażeń i przeżyć, ale i dla nauki. Orogromny brak jest literatury uzupełniającej, związanej z programami szkolnymi, a wychodzącej już poza ramy biblioteki szkolnej. Biblioteka gromadzka, posiadająca często jedną pozycję określonego wydawnictwa, zatrzymuje ją na potrzeby własnego środowiska. Toteż filie biblioteczne, wymagające większego zasobu książek, szczególnie dotkliwie odczuwają brak literatury.

Należy podkreślić wysiłek poszczególnych bibliotekarzy zdobywających różnymi drogami (jak loteria, imprezy itp.) pieniądze na uzupełnienie księgozbioru. Tak czynią biblioteki w Ciecierzynie, Ostrówku inne. Z realną pomocą przyszła tutaj w ostatnich latach Powiatowa Rada Narodowa, rady gromadzkie i PZGS, co wyraziło się dotacją około 120.000 zł na sprawy organizacyjne bibliotek. A rozpoczęcie w roku obecnym w powiecie lubelskim sesji gromadzkich rad narodowych poświęconych sprawom kulturalno-oświatowym może być rekojmią, iż sprawa czytelnictwa znajdzie swoje właściwe miejsce w ogólnej gospodarce sprawami powiatu.

Znaczne zwiększenie liczby czytelników w roku bieżącym i skierowanie uwagi ku podnoszeniu rangi pracownika bibliotecznego — to niebłaha sprawa. O to walczy cała Polska. W jednym z dni czerwcowych roku bieżącego najaktywniejsi bibliotekarze filii i punktów bibliotecznych zostali nagrodzeni. Szereg instytucji powiatu lubelskiego w poczuciu jakiejś wspólnej odpowiedzialności za sprawę kultury ich terenu konkretnie przyczyniło się do zwiększenia sumy nagród. Były to m. in.: Rejonowa Spółdzielnia Ogrodnicza, Prezydium Miejskiej Rady Narodowej w Świdniku, Miejskie Przedsiębiorstwo Gospodarki Komunalnej w Świdniku, PGR w Łęcznej, Okręgowa Spółdzielnia Mleczarska w Piaśkach, Stacja Hodowli Roślin w Snopkowie, Wojewódzkie Przedsiębiorstwo Produkcji Pomocniczej Materiałów Budowlanych w Lublinie.

Jeżeli w chwili obecnej można mówić o wspólnym wysiłku powiatu lubelskiego na rzecz kultury, to niewątpliwie dzięki sprzyjającej i pełnej zrozumienia dla spraw bibliotecznych atmosferze wytworzonej przez Powiatową Radę Narodową i powiatowe władze partyjne.

A podjęcie poważnej decyzji w dziedzinie spraw organizacyjnych związanych z bibliotekami może być krokiem ku właściwemu rozwiązywaniu tych trudnych problemów.

Gomulka zwraca uwagę na to, że wszystko można opłacić materialnie. Wiele można osiągnąć, jak to pokazali członkowie KC zabierający głos w dyskusji, przez odpowiednie słownictwo do działacza, przez wyróżnienie dyplomem, odznaką, a nieraz i dotychczas słowem uznającym jego wkład w pracę.

Niemalą rolę może tu odegrać prasa, radio, telewizja, czy kronika filmowa. Instytucje te, jako organa wyrażające opinię o pracy i działalności, które upowszechniają osiągnięcia kulturalne i naukowe, mają duże możliwości. W wielu wypadkach mogą przyczynić się do rozwinięcia działalności, ale również mogą wyrażać krzywdę, jak było w przypadku Marcinkowskiego. Dlatego też w wszelkich rodzajach ocen należy być dzieć zjawisko wszechstronne, a przede wszystkim człowieka i jego postać.

W województwie lubelskim placówki kulturalne, jak i poszczególni twórcy, angażują się w ostatnim okresie we współczesne problemy społeczne kulturalne bardzo aktywnie.

Warto np. wspomnieć o ogólnopolskiej wystawie „Martyrologia i walka narodu polskiego”, na której zostały przedstawione problemy walki i okrucieństwa II wojny światowej. Określenie tematyki wystawy porwało zaangażować w dużej mierze lubelskie środowisko plastyczne w aktualną problematykę. Zostały urządzone także wystawy, jak: nowa ekspozycja w Majdanku; tradycje 1-majowe w Lubelszczyźnie i XX-lecie PPR na Lubelszczyźnie; „Dzieci Zamojszczyzny oskarżają”, oraz wiele innych wystaw.

W dużym stopniu w repertuarze teatrów, instytucji muzycznych uwzględnia się treści kształtujące właściwą naszemu ustrojowi postawę społeczną.

Wiele problematyki społecznej podejmuje dwutygodnik społeczno - kulturalny „Kamena”, obecnie przekształcony w pismo 4 województwa Południowego. Poświęca on niemałą wagę nowym inwestycjom, sprawom wychowawczym, młodzieży akademickiej, dokumentom z czasów okupacji (Majdanek, martyrologia Zamojszczyzny, walka z okupantem faszystowskim).

Można byłoby wliczyć sporo osiągnięć Biblioteki Wojewódzkiej (opracowanie bibliografii w związku z XX-leciem PPR, szereg wystaw okolicznościowych, np. postępowej prasy lubelskiej).

Poważne osiągnięcia ma Wojewódzki Dom Kultury (m. in. Turniej Wojewódzki Ogólnopolskiego Konkursu Recytatorskiego, w którym w dużym stopniu uwzględniono poezję współczesną).

NIEMALE te przemiany i osiągnięcia na pewno nie mogą jeszcze nas zadowolić w świetle XIII Plenum, na pewno wiele rzeczy nieodpowiednich, a może i szkodliwych uszło naszej uwadze. Kierownicy naszych placówek może w sposób jeszcze nie dość wnikliwy ujmowali różne sprawy. Ale wysunięte przez partię problemy kształcenia i oddziaływania ideologicznego, wskazania treści i form pracy — pozwolą na jeszcze większe zaangażowanie się naszych środowisk i działaczy w aktualne zagadnienia. Działalność kulturalna, role placówek kulturalnych staje się jednym z głównych ogniw ideologicznego oddziaływania. Niezmiernie ważną jest rzeczą, by w tej działalności istniało jak największe współdziałanie placówek i działaczy ze społeczeństwem. By praca kulturalno-oświatowa była stałą troską organizacji partyjnych i władz administracyjnych. Województwo lubelskie jako województwo rolnicze wymaga szczególnie sprawnej organizacji i nowych form działania w tysiącach drobnych miejscowości. Powołane uchwałą Egzekutywy Komitetu Wojewódzkiego i Prezydium Wojewódzkiej Rady Narodowej kompleksowe ośrodki pracy kulturalno-oświatowej spełniać będą w tej pracy doniosłą rolę.

Materiały XIII Plenum powinny być w sposób należyty przyswojone przez działaczy kultury. Powinny stać się one dla działacza, dla twórcy wytyczną codziennej pracy. W pracy niezbędne jest żarliwe zaangażowanie się dyrektora, aktora i reżysera, teratara i plastyka, dziennikarza i muzyka. Chodzi o to, by w pracy codziennej działacz przekazywał społeczeństwu uchwały partii i rządu, treść socjalistycznej kultury, nauki i techniki. Spełnianie tych zadań pozwoli na podniesienie poziomu kulturalnego naszego społeczeństwa, jego świadomości politycznej. W obecnym procesie walki o pokój i o rozwój ekonomiczny ma to szczególne znaczenie.

*) P. artykuł pt. „Pełnym głosem” nr 9 „Kamena”.

OD paru już lat problem właściwej organizacji sieci publicznych bibliotek powszechnych niepokoi bibliotekarzy. W roku 1958 ukazała się niewielka praca wydana przez Bibliotekę Narodową, a przygotowana przez pracowników Biblioteki im. H. Łopacińskiego, poruszająca temat reorganizacji sieci bibliotecznej w oparciu o dwa przykłady — projekty rozwiązania tych spraw w powiecie lukowskim i tomaszowskim. Zwrócono wówczas szczególną uwagę na potrzebę tworzenia mocnych wiejskich placówek bibliotecznych z większym zasobem książek, z pracownikami odpowiedzialnie wynagradzonymi, odciążonymi od prac bibliotecznych ściśle mechanicznych, a poświęcających więcej uwagi pracy z czytelnikami i działalności oświatowej. Projekty te, chociaż z różnych względów nie zrealizowane, były inspiracją dla tych, którzy zdolni byli podjąć trud i ryzyko nowatorstwa. Pionierem tutaj stała się lubelska Biblioteka Powiatowa, skierowująca całą swoją uwagę i wysiłek na sprawę reorganizacji sieci na terenie powiatu lubelskiego.

A teraz małe przypomnienie. Zasadniczą rolę w dziedzinie upowszechniania książki i czytelnictwa spełniają poza bibliotekami gromadzkimi punkty biblioteczne. Liczba ich w województwie na terenie wsi jest pokaźna — 1.700. Praca punktów ma charakter społeczny.

Ne posiadają one własnego lokalu, mieszczą się kątem w biurze PGRN, w izbie szkolnej, lub prywatnym mieszkaniu kierownika punktu, posiadają od 50 do 100 książek, rzadko 200, przeciętna liczba czytelników — 45. Często brak szafki lub regału na umieszczenie księgozbioru. O pracy z czytelnikiem trudno mówić, tym bardziej, że ten niewielki zbiór książek rzadko jest odnawiany, a kierownik punktu nie poczuwa się do potrzeby kontaktu z biblioteką gromadzką dla wymiany starych kompletów książek. Nie bez winy jest tutaj i biblioteka gromadzka, chociaż w dużym stopniu tłumaczy ją brak dostatecznej ilości egzemplarzy wielu pozycji potrzebnych punktom bibliotecznym. Obsada kierowników punktów również ulega ciągłej płynności, na co wpływa i fakt, że praca ta nie ma dostatecznych ekwiwalentów ekonomicznych. Trzydzięci złotych premii miesięcznej może pokryć zaledwie konieczne wydatki gospodarce związane z prowadzeniem placówki. Bodźcem tutaj, ale raczej dla nielicznych, może być zadowolenie z własnej pracy wobec zwiększającego się grona

Francuz zakochany w Polsce

WOJCIECH NATANSON

Liczne dziedziny humanistyki na prowincji są ugięte i podczas gdy w centrum trzeba czasami długo czekać na możliwość urzędzenia się zgodnie z marzeniami, tutaj wskutek braku ludzi następuje to znacznie szybciej.

Wśród humanistów osiedlających się na prowincji wyodrębniają się jakby dwie kategorie. Do pierwszej będą należeli ci, którzy asymilują się z zastanym otoczeniem, przyzwyczajają się do skonwencjonalizowanego życia towarzyskiego, do wysublimowanej wrażliwości na urojoną obrazę, stają się prowincjonalnie uproszczeni, ubrani bez elegancji, pozbawieni wyobraźni. O ile taki „zjadacz chleba” zostanie w centrach, z konieczności dopasowuje się do bardziej skomplikowanego otoczenia, życie jego jest trochę ozdobniejsze. I on to najczęściej narzeka na prowincję, której czasem nawet dobrze nie zna. Jego cechą charakterystyczną jest chyba brak samodzielności intelektualnej.

Bardziej ambitni w pracy zajmują pozycję twórczą, rozwijają się mimo trudniejszych warunków, a ograniczenie możliwości jest dla nich ważnym dopingiem. Oni budują na prowincji nie tylko własne życie. Zachowując związek z ośrodkiem wprowadzają nowe wartości, nowe wzory, tworzą nowe i bardzo ciekawe środowisko. Nie będąc socjologami muszą stosować uproszczenia w określaniu tych spraw, sądząc jednak, że w wielu miejscowościach istnieje już zawiązek tego typu środowisk.

Studia historii sztuki dają podstawę do realizacji wielu marzeń. Są na tyle ogólne, że zasadniczo nie przygotowują do wykonywania zawodu, i określenie „historyk sztuki” nie jest nazwą zawodu, lecz rodzaju wykształcenia, które otrzymał osobnik pracujący naukowo w dziedzinie historii sztuki, pełniący zawód pracownika muzealnego, konserwatora, krytyka artystycznego, nawet dziennikarza piszącego o modzie i in. Studia te mogą być pomocne przy pracy w filmie, teatrze, szkolnictwie. Zawsze przydadzą się w wydawnictwach, w pracy oświatowej i popularyzatorskiej, w domach kultury, bibliotekach.

Przy tak wielkich możliwościach przekonanie o braku pracy dla historyków sztuki jeszcze długo nie będzie odpowiadało prawdzie. Rzeczywiście, w miastach uniwersyteckich każde wolne stanowisko dla historyka sztuki jest prawie natychmiast obsadzone. Ale na prowincji sytuacja wygląda wręcz żałośnie: w muzeach pracują zamilowani amatorzy, posiadający czasem niepełne wyższe, a czasem tylko średnie wykształcenie. Często zajmują oni wysokie stanowiska, jak dyrektora muzeum albo jeszcze gorzej: kustosa, kierownika jednego z działów muzeum.

Jak wygląda najbardziej typowa praca historyka sztuki w warunkach prowincjonalnych? Praktyczne wykonywanie wiadomości nabytych w czasie studiów — to praca w muzealnictwie albo konserwatorstwie.

Muzea prowincjonalne, często prowadzone niefachowo są zaniedbane, nie uporządkowane, urządzone w myśl zasad wieku XIX; ich główny cel polega na zgromadze-

(Dokończenie na str. 6)

sce biłały się po bezkresnych równinach, polach olśniewająco białych, po ciemniach leśnych, a potem wracały ku małemu czarnemu punktowi na naszym aillasie, na skraju rzeki, zataczającej ogromny łuk sierpa. Warszawa... Dużo śniegu”.

Potem wpadły chłopcu w ręce inne książki o Polsce i Polakach? powieści pani Ségur pokazujące wygnanców po roku 1831, jako ludzi z natury uzdolnionych do muzyki. Zapewne Sienkiewicz też żywił wyobraźnię młodego Cezara, „Quo vadis” cieszyło się w tych latach popularnością, która przetrwała o zawiść wielu pisarzy francuskich. Inne utwory Sienkiewicza spopularyzują we Francji modernistyczna „Revue Blanche”. Wolno więc przypuszczać, że autor „Trylogii” „wtajemniczał” młodego Cezara w urok polskiego baroku. Równocześnie w pismach Erazma z Rotterdamu młody Cezar zakreślił zdanie: „Polska ojczyzną uczonych”.

Do owej krainy badaczy i poetów przyjechał Cezar po raz pierwszy z początkiem XX stulecia. Była to złota jesień. W Wielkopolsce poznał krajoznawcę, który w pamięci wspomnienia o wspaniałych drzewach. W Warszawie uderzyły go kontrasty. Studia polonistyczne odbywał młody Francuz w Krakowie, owym mieście uniwersyteckim, które Montaigne umieszczał między Atenami a Rzymem; w mieście, w którym Cezar oglądał zachwyconymi oczyma szopki, pełne ruchu i barwy. Tajemniczo brzmiące dźwięki polskiej mowy stały się teraz bliskie Cezarowi. Obudził się pewnego dnia jako wielbiciel staropolszczyzny — i przyszły tłumacz Paska.

O owym przekładzie Paska, zaopatrzonemu w gruntowny wstęp tłumacza, z zachwytem będzie pisał Boy. Podniósł on, że Cezar zna lepiej staropolszczyznę od niejednego z nas.

Dał Cezar nowe tłumaczenie „Pana Tadeusza”, które wychodzi w wydawnictwie „Classiques Garnier”. Przekład ten był żywo dyskutowany, zarówno we Francji, jak u nas. Był to bowiem eksperyment: „Pan Tadeusz” tłumaczony prozą! W każdym razie książka została rozbawiona.

Lista innych tłumaczeń Cezara jest imponująca: „Książę Józef Poniatowski” Askenazego; trzy tomy pism fi-

lozoficznych Cieszkowskiego; kilka opowiadań Sienkiewicza; „Stygmat” Norwida; „Podfilipski” oraz „Soból i panna” Weysenhoffa; „Żywe kamienie” Berenta; dwa utwory Reymonta; „Panny z Wilka” Iwaszkiewicza; „Kłosa panny” Morstina; „Lokomotywa” Tuwima.

W 1940 roku ukazała się 300-stronicowa monografia Cezara o Ignacym Krasickim. „To dzieło ma dać portret jednego z największych pisarzy dawnej Polski” — pisał w przedmowie. „Usiłowałem oczyścić obraz Krasickiego z konwencjonalnego pokostu, którym go okryło sto lat sławy — i szkolnych tradycji”. Równocześnie chciał Cezar umieścić autora „Monachomachii” w jego środowisku, na tle poprzedników i narodowej tradycji, aby wśród szerokiej rzeszy rozszerzyć znajomość polskiego dorobku literackiego. Działo się to w momencie, gdy barbarzyństwo hitlerowskie zdawało się zagrażać polskiej cywilizacji. Cezar wspominał zamordowanych w Sachsenhausen profesorów krakowskich.

Po wojnie z podwójną energią zabrał się do pracy. Na uniwersytecie w Aix-en-Provence wtajemnicza młodzież w arkana polszczyzny, w essayach pisał o naszym kraju; tłumaczył nie zważając na swe lata. W roku ubiegłym ogłosił przekład „Bramy spiżowej” Brezy i przyczynił się do tłumaczenia „Zegara słonecznego” Parandowskiego. Często do Polski przyjeżdżał. Przed paru laty poznałem go na spotkaniu w redakcji „Twórczości”. Był promienny i wesoły, choć niedawno przeżył chorobę. Opowiadał, że we Francji uważają Polskę za „kraj wiecznych lodów” i że ta wiara utrzymuje się od lat 300. „A ja tymczasem” — dodawał — „właśnie w Polsce nigdy nie zmarłem. Polacy potrafią się zabezpieczyć przed zimą”.

Wypadek samochodowy i wynikła zń choroba pozbawia nas nagle życiowych świadczeń ze strony tego wielkiego przyjaciela. Mało kto tyle dla nas zrobił, wskazując drogę młodszemu, jak prof. Jean Fabre, czy Jean Bourilly. Ten Francuz złożył dowody miłości do Polski.

stach przeraża najbardziej. Przerażają również mity, powstałe jeszcze przed drugą wojną światową, bezmyślnie powtarzane: o braku rozrywk kulturalnych, o zerwaniu kontaktu ze światem, o nieuniknionej śmierci intelektualnej.

W drugiej połowie XX wieku — przynajmniej częściowo tym kłopotom można zaradzić! Są przecież kina i biblioteki w każdym mieście, teatry we wszystkich miastach wojewódzkich. Zresztą komunikacja jest na tyle sprawna, że przy odrobinie trudu włożonego w zorganizowanie sobie życia, można nie rezygnować z wię-

szości przyjemności wielkomiejskich. Powszechne i bardzo pożyteczne są takie wynalazki jak radio, adapter, telewizor i docierające wszędzie czasopisma...

Najważniejszym bodźcem rozwoju może (żeby nie powiedzieć: powinna) stać się praca. Ponieważ plus minus 1/4 czasu w naszym życiu poświęcamy pracy, warto się zastanowić nad tym, by ten czas był spędzony w sposób maksymalnie interesujący. Dla wielu ludzi mniej obrotnych lub pragnących uzyskać szybko pracę samodzielną i w miarę niezależną wyprowadzenie się z dużego miasta może być szansą.



Fot. Jerzy Tur

Spichlerz w Rożnowicach (pow. gorlicki)

DO HISTORYKÓW SZTUKI

BARBARA TONDOS

ZARAZ przyjdzie. Jak będzie wyglądała? Wiem, że kiedy ją zobaczę, będę usiłowała ją przeżyć i poznać, zanim powie pierwsze słowa. Wiem i to, że bez względu na wynik tych oględzin będę namawiała, prosiła:

— Słyszalam, że pani chce zmienić pracę. U nas jest wolny etat...

Takie rozmowy odbywam systematycznie. Na ogół bez rezultatu. Próba takiej rozmowy niech będzie również ten artykuł, pisany na podstawie doświadczeń grupki historyków sztuki żyjących na prowincji, z myślą o tym, że właśnie skończył się rok akademicki, absolwenci szukają pracy i możliwości urzędzenia sobie życia.

Kraje od wielu lat mit szkodliwy o bezrobociu historyków sztuki. Jako potwierdzenie cytuje się nieszczęsnego historyka, którego ktoś kiedyś odkrył pracującego na poczcie. Mit jest sugestywny, budzi lęk. Toteż wielu rezygnuje z wyboru pracy zgodnego z zamiłowaniem, temperamentem, marzeniami. Były tylko zostać w ośrodku, zgadzając się na każde warunki. Łapią zajęcia, które się nadają.

Bo prowincja to teren obcy nawet dla tych, którzy z niej wyszli. Małe miasteczko może być przerażające. Absolwenci różnych uczelni powtarzają, że chętnie poszliby pracować na prowincję, gdyby spotkało ich tam środowisko żywe, będące bodźcem do dalszego rozwoju. Tymczasem można się spodziewać, że zastaną to, co zawsze będzie istniało w niewielkich skupiskach ludzkich: obmowa, plotka, dąsy i jakaś odmiana bardzo sztywnego konwenansu. To w małych mia-

ŁESIA UKRAINKA

1871 — 1913

1 sierpnia br. upływa 50 lat od śmierci znakomitej poetki ukraińskiej. Światowa Rada Pokoju wezwała wszystkie narody do uczczenia tej rocznicy.

Gdy sama stała stanę się w tym ogniu,
Rzekniecie: nowy się narodził człowiek;
A gdy się zlamie, to nie płaczcie po mnie,
Zal, że nie wcześniej — niechaj każdy powie.

MOJA DROGA

Ruszyłam w drogę. Była wiosna słodka.
I cichą pieśń nieśmiało zaśpiewałam,
Ktokolwiek mnie na szlaku moim spotkał,
Tego najszerszym sercem powitałam:
„Niepewna droga, ślad się wszędzie gmatwa.
Chodź ze mną, razem iść nam będzie łatwiej”.

Daleka droga. Trud pokonać taki!
Najciężej ją samotne czują kroki.
Ale nie sama idę ja tym szlakiem,
Nie sama nim wędruję w świat szeroki.
Samą już dawno szlak by mnie ten strudził,
Lecz po tej drodze kroczy tylu ludzi.

Idę więc naprzód, pieśni swe układam,
Lecz nie szukajcie nauk w nich proroczych,
Nie, siły głosu weale nie posładam!
Lecz gdy usłyszę, że ktoś lka w niemocy,
Mówię mu: „Bracie, razem z tobą płaczę!”
I wtedy brzmi już moja pieśń inaczej.

Bo tzy mniej gorzkie są, gdy je podzielać.
A gdy uszyję w drodze mi wypadnie
Radosny śpiew wolności i wesela,
Ma dusza echem mu odpowie śladnie
I kryjąc w sercu wszystkie swoje krzywdy,
Wolnego śpiewu nie zatruję nigdy.

Kiedy ku niebu głowę w górę zagnę,
Nie szukam na nim konstelacji nowych,
Braterstwo, równość, wolność — ujrzeć pragnę
Skroś ciężkie zwąły czarnych chmur gradowych —
Te gwiazdy trzy złociste i wspaniałe,
Co ludziom świecą w górze wieki całe.

Gdy komuś trzy te gwiazdy zamajaczą
I wolnym hymnem wielkość ich wystawi,
Choć sama ich na niebie nie zobaczę,
Ze jest szaleńcem pieśniarz ten nie powiem,
Bo nieraz promień złocisty zarania
Na drodze pył unosząc się zastania.

Czy na swej drodze spotkam tylko ciernie,
Czy kwiatów wonnych witać będę krasę,
Czy cel osiągnę naprzód dążąc wiernie,
Czy też ma droga urwie się przed czasem —
Marzenia moje niech się ucielesnią:
Skończyć ją pragnę, jak zaczęłam — pieśnią.

Przełożył K. A. Jaworski

Wiem dobrze: w życiu mym się rozszaleje
Niejedna jeszcze zamieć ponad głową,
Opadać będą z serca me nadzieje
Jak liście z drzew, gdy zadmie wiatr surowo.

Ogarną nieraz mnie trujące fale
Rozpaczy strasznej, nie mającej granie,
Niewiara ciężka w siebie i swój talent
I w to, że ludzie mają powołanie.

I dusza ma przeżyje nieraz przelom
I spojrzę oczy me w bezdenną jamę,
I zauważę nad miłości czołem
Pstrokaty kołpak błazna albo plamę.

Zmęczona nieraz w drodze mej upadnę
Przed zasłoniętym pomnikiem Izdy,
Z okrętem nieraz jeszcze pójść na dno
W poszukiwaniu nowej Atlantydy.

Nieraz głos jeszcze wydobędę z trudem
I zabrzmiał głucho, jakby brzmiał w pustyni,
Pomyślę: w życiu wszystko jest uluda,
Na zlemini gdzieś nie ma już świątyni.

I może jeszcze czas przeklęty nieraz
Sprowadzi mi surową śmierci marę
I znów wypadnie wprząc się w życia kierat
I opuszczonej wlec swe dni jak karę.

Wiem to i strasznych oczekuję nocy,
Wśród których ognie nagle się zapalą,
Kuć się w nim będzie mlecz potężnej mocy
O jasnej twardej i hartownej stali.

REFLEKSJE POEGZAMINOWE

(Dokończenie ze str. 1)

wyłącznie o „Niemcach”, o „Kordianie i chmie” (rzecz zresztą nie „współczesna”), czasem o „Pierwszym dniu wolności”. Broniewski zaś wystąpił właściwie wyłącznie jako poeta rewolucyjny, z nikłymi (tu i ówdzie) wzmiankami o lirykach poświęconych pamięci córki. Czyli: wybrano utwory z listy obowiązkowych lektur szkolnych a sympatię dla nich uzasadniają ich walorami ideowymi, powtarzając wnioski z lekcji w szkole. Egzaminu ustnego potwierdziły nieznajomość reszty twórczości Kruczkowskiego i świetnej jakże bliskiej człowiekowi, liryki osobistej autora wierszy do Anki. Gdzież tu szczerze zainteresowanie dla „ulubionego” pisarza? Można mówić jedynie o szkolnictwie. Ale kilka osób wyszło poza tę

smutną „normę”. I ci — rzecz ciekawa — wybrali nie pisarzy polskich, ale czytanych u nas szeroko — „modnych” obcych: Steinbecka, Hemingwaya, Tomasza Manna. Zadania tych kandydatów były bardzo interesujące. Wnikliwe rozważania na książkę „Stary człowiek i morze”, próba interpretacji „Doktora Faustusa” — to dowody, że nie wszystkim wystarczała chuda lista lektury szkolnej. Ze jest garstka (w tych dziesięciu procentach) miłośników książki czytanej dobrowolnie. Ale — czyżby współczesna literatura polska była dla młodych aż tak nieciekawa? I czy (tu coś w rodzaju pretensji do szkoły) nauczyciele nie potrafili zachęcić wszystkich do jej czytania? A bodaj do jakiej takiej orientacji w dorobku literackim naszej współczesności?

Temat dotyczący planu życia po ukończeniu studiów dowiódł, że młodzież (w większości) takiego planu jasno jeszcze nie widzi. Nie dziwota. Są na to zbyt młodzi i zbyt jeszcze „płynni”. Poniekąd jednak marzy się kariera naukowa, w kilku przypadkach dziennikarska, w większości

zaś — zawód nauczycielski, pojmowany i widziany bardzo „górnio”: pracowito, ofiarne, pełen poświęcenia i cierpliwości. Czy wytrwają? Czy są zupełnie szczerzy?

Błędy? „Normalne”. Mniej może drastyczne niż w latach ubiegłych, choć jeszcze ortografia chroma, choć język zbyt ubogi (kandydaci na polonistów!), choć styl zbyt chropawy.

Egzaminy ustne były uzupełniającym sprawdzianem przygotowania młodzieży. Wiedza maturalistów jest przeważnie szkolarska, często niżej poziomu szkolnego zarówno w literaturze, jak przede wszystkim w historii. Wiadomości historyczne były na ogół kompromitująco ubogie, bez troski wymieszane i pomyłone, a wszakże chodziło o historię... Polski.

Pytani o współczesną prasę literacką, wykazywali kandydaci raczej znajomość tytułów niż charakteru i zawartości czasopism. Wiedzieli głównie o „Życiu Literackim” i „Kulturze” (z fazami ją poprzedzającymi), w kilku przypadkach o „Dialogu”. Swoiste curiosum stanowiło wymie-

nienie na pierwszym miejscu... „Przekroju”. Autor ładnego i rozsądnego zadania, dobrze odpowiadającego ustnie na pytania w zakresie lektury szkolnej, nie umiał wymienić pisarzy współczesnych, a wyznając, że nie interesuje szczególnie kinem, nie potrafił scharakteryzować żadnego filmu. Co prawda, była i kandydatka (jedna!), która się wykazała nie tylko znajomością literatury, ale dużą orientacją w dziedzinie sztuk plastycznych.

Znajomość gramatyki normatywnej — możliwa, choć też bardzo szkolarska. Dobrze i to.

W sumie — powtarzam: będzie robić od października. Nie łamię ręk nad dość niskim poziomem przyszłych studentów polonistyki. Pragniemy jednak poprawy sytuacji. A nie nastąpi ona dopóty, póki trwać będzie niezgodne z dążeniami ludkości kulturalnej lekceważenie tych nauk, w których centrum jest człowiek i jego sprawy. Póki będzie trwać lekceważenie humanistyki.

Janina Garbaczowska

JEAN Jacques ma 23 lata. Niski wzrost, pociągła twarz, bystre, inteligentne spojrzenie. Należy do tej dość licznej grupy młodzieży studenckiej, dla której nie istnieje problem zdobycia pieniędzy potrzebnych na opłacenie studiów i pobyt w Paryżu. Ojciec, właściciel dobrze prosperującego przedsiębiorstwa na południu Francji, co miesiąc regularnie przysyła odpowiednią sumę, pozwalającą synowi bez żadnego trudu powiązać koniec z końcem. Jacques kończy filozofię i już niedługo obejmie kierownicze stanowisko w fabryce swego ojca. Jest on typowym przedstawicielem przeciętnego francuskiego studenta, z typowymi perspektywami po zakończeniu studiów. Jedną tylko rzecz wyróżnia Jacques'a z masy paryskiej braci studenckiej. Nie jest typowy jego sposób myślenia. Jacques wierzy w to, że czas przeznaczony na studia nie jest zmarnowanym okresem w życiu młodego człowieka. Wierzy, że studia to nie tylko smutna konieczność, pańszczyzna, którą trzeba odrobić, aby przygotować sobie wygodny start do życiowej kariery, lecz jest to czas przeznaczony na rozwój wewnętrzny człowieka, wzbogacenie swojego wnętrza. Wierzy on również, że kultura to nie tylko puste słowo, ale wręcz przeciwnie jest to rzecz niezbędna w życiu człowieka.

Każdego wieczoru spotykamy się w maleńkiej kafejce na placu Maubert, gdzie przy filiżance kawy codziennie Jacques odkrywa przede mną cząstkę tajemnic skomplikowanego studenckiego życia.

Na dzisiejsze spotkanie przychodzę trochę spóźniony. Jacques czeka w swoim ulubionym kąciaku, zatopiony w lekturze ostatniego numeru „L'Express”.

— Myślałem że już nie przyjdiesz — mówi z wyrzutem. — Kupiłem dwa bi-

lety na „Antygonę”. To na Sorbonie — wyjaśnia.

GODZINA 9 wieczór. Długie, źle oświetlone korytarze Sorbony sprawiają wrażenie makiety dekoracyjnej upiornego filmu. Wrażenie to potęguje jeszcze wiatr, który wpadając poprzez niedomknięte okna hula

Student francuski r. 1963

ZBIGNIEW DOMARAŃCZYK

po korytarzach niczym po parkowych alejach. Zza uchylonych drzwi prowadzących do jednej z rozlicznych sal dobiegają przytłumione głosy. To pewnie tutaj — stwierdza Jacques.

Olbryzmia amfiteatralna sala. W dole, na podium przeznaczonym normalnie na profesorską katedrę, grupa młodych ludzi trzymając w rękach egzemplarze, recytuje „Antygonę”. W starych drewnianych ławkach, gdzieś tam dają się dostrzec ciemniejsze od zmrzoku sylwetki widza. W sumie oglądających jest mniej niż recytujących.

Lektura dobiega końca. Na sali zapalają się światła. Jeden z recytatorów proponuje dyskusję na temat wiecznej aktualności dramatu antycznego. Nie pada jednak ani jeden głos. Nieliczni studenci widzowie opuszczają salę.

Jacques przedstawia mi kierownikowi kilka miłośników dramatu antycznego, z którego inicjatywy zorganizowany był dzisiejszy wieczór.

Tak, frekwencja nie była dziś nadzwyczajna. Często zdarza się jednak, że na sali znajduje się trzech, czterech widzów. Dlaczego tak jest? Czy ja

wiem. Może gdyby były pieniądze na reklamę, byłoby trochę lepiej. Najgorsze jest jednak to, że do dzisiejszego wieczoru wypadnie dopłacić z własnej kieszeni. Administracja Sorbony za wynajęcie sali studentom każe sobie płacić 70 franków.

Zegnamy się i wychodzimy z uniwersytetu. Jacques odprowadza mnie do

domu. Po drodze rozmawiamy o życiu teatralnym wyższych uczelni Paryża, które przecież miało kiedyś tak piękne i bogate tradycje.

Okazuje się, że istnieje organizacja, skupiająca w swoim ręku wszystkie kilka miłośników teatru, wszystkie zespoły amatorskie działające przy różnych wydziałach i uczelniach. Niestety brak funduszy paraliżuje inicjatywę tej pożytecznej organizacji. Podstawową przeszkodą w pracy jest brak własnej sali nadającej się na występy artystyczne. Co prawda wynajęte w Bagnolet i Sceaux stare garaże oraz piwnica Saint Barbe zostały do tego celu jako tako przystosowane, niemniej jednak to nie rozwiązuje zagadnienia. Wszystkie te miejsca leżą w znacznej odległości od centrum miasta i żaden student nie wybierze się tam wyłącznie po to, aby oglądać przedstawienie. Studenci od lat szturmują odpowiednie władze uniwersytetu starając się o jakąś przyzwoitą salę. Ostatnio obiecano im, iż w nowo budującym się gmachu wydziału lekarskiego jedna z sal zostanie przystosowana do celów widowiskowych. — Wtedy — stwierdza

Jacques — sytuacja na pewno się poprawi.

Rozmowa schodzi na temat doboru przez młodzież akademicką imprez artystycznych, motywów decydujących o tym, iż na jedne spektakle się chodzi, na inne zaś nie. Jacques twierdzi, że jest to wyłącznie sprawa odpowiedniej informacji, dobrej reklamy danej imprezy.

— Chcesz zobaczyć jak to wygląda — pyta. — Przyjdź jutro w południe na uniwersytet. Spotkamy się przy głównym wejściu.

GODZINA 11.50. Specjalne oddziały policji, przeznaczone do regulacji ruchu, obsadzają skrzyżowania ulic w okolicach Sorbony. Plac znajdujący się przed gmachem uniwersytetu jest jeszcze prawie zupełnie pusty. Tylko przy wejściu prowadzącym do budynku grupę młodych ludzi z plikami papierów pod pachami.

Godzina dwunasta. W bramach pojawiają się pierwsze grupy wychodzących studentów. W chwili późniejszej lewa się już różnokolorowa i wielogłęboko zyczna rzeka. Wraz z tłumem wychodzą Pierre. Trzy godziny wykładów może na śmierć zanudzić człowieka. Idąc ścieżką w przelocie kilka rak. Po raz ma przed sobą pół godziny wolnego czasu, jaki pozostaje pomiędzy zakończeniem wykładów a chwilą, kiedy trzeba będzie zająć miejsce w sali akademickiej stołówki. Pół godziny akurat tyle, aby odtechnąć trochę w czystym powietrzu. W tłumie wychodzących studentów działają teraz ludzie, którzy jeszcze przed dziesięcioma minutami, wraz z swymi papierami, sadzili wszystkie wyjścia z uniwersytetu. Z wprawą zawodowych zachwytów czy najnowszych modeli lodówek

(Dokończenie na str. 11)

Konflikt rasowy w USA

DOMINIK HORODYŃSKI

NIERÓWNOPRAWNE położenie ludności czarnej Stanów Zjednoczonych od dawna jest jednym ze specyficznych problemów tego kraju. Jednakże ostatnie wydarzenia, m. in. szarga policji na bezbronnym tłumie w Birmingham oraz protestacyjno-manifestacyjne uliczne ludności murzyńskiej całego kraju świadczą, że konflikt rasowy wszedł w swą dramatyczną fazę, że bynajmniej nie ogranicza się do stosunkowo zacofanych i tradycyjnie rasistowskich stanów Południa.

Sąd nasz, rzecz jasna, o całej tej ponurej sprawie jest jednoznaczny. Nie będę więc w tym artykule pisał o oczywistych uczuciach solidarności z prześladowanymi, chcę natomiast przytoczyć nieco faktów i cyfr ilustrujących bliżej aktualną sytuację ludności czarnej w USA. Na ten temat właśnie ukazał się niedawno bogato udokumentowany artykuł znanego publicysty francuskiego Claude Julien w „Monde”. Najpierw jednak krótka dygresja.

Byłem parokrotnie w Stanach Zjednoczonych. Pamiętam wstrząs, jakiego doznałem, gdy niedaleko od Waszyngtonu zetknąłem się pierwszy raz z napisami na różnych instytucjach użytku publicznego: „Dla białych”, „Dla kolorowych”. Pamiętam też, że w Nowym Jorku i Chicago spotykałem Murzynów należących do wysokich kół kapitalistycznych. Odniosłem wówczas wrażenie, że w stanach północnych ludność czarna nie podlega dyskryminacji. Otóż było to złudzeniem, braniem pozorów za rzeczywistość. Jak twierdzą znawcy problemu, zdarza się, że na Północy Murzyni spotykają się z większą nienawiścią niż na Południu, tyle tylko, że inaczej się ona wyraża, zgodnie ze starym powiedzeniem: Południe mówi do Murzyna: „Bądź niewolnikiem i niech Bóg cię błogosławi!”, Północ zaś mówi do Murzyna: „Bądź wolny i idź do diabła!”

Przechodzę do cyfr i danych. W ostatnich 20 latach dokonała się ogromna migracja wewnątrz społeczności murzyńskiej USA. Migracja w dwóch kierunkach: z Południa na Północ oraz ze wsi do miast. Np. w latach 1950—1960 ze stanu Mississippi wyemigrowało 323.000 Murzynów, ze stanu Alabama — 224.000, natomiast do stanu Kalifornia przybyło w tym samym czasie 354.000 Murzynów, do stanu Nowy Jork — 282.000. W wyniku tego ruchu migracyjnego procent ludności czarnej na Południu maleje, na Północy stale wzrasta.

Jeszcze gwałtowniejsze są zmiany, jeżeli idzie o urbanizację ludności czarnej. W ciągu minionych 50 lat procent Murzynów mieszkających w miastach skoczył z 27% do 73%. Warto przytoczyć kilka cyfr szczególnie wiele mówiących. Np. w latach 1940—1960 ludność czarna Nowego Jorku wzrosła z 458.000 do 1.088.000, Chicago — z 278.000 do 813.000, Los Angeles — z 64.000 do 335.000. W Waszyngtonie ludność murzyńska liczyła w 1950 roku 34,4% mieszkańców, w 1960 roku już 54,8%. Stolica USA stała się miastem o większości murzyńskiej.

Ow gwałtowny przypływ ludności czarnej do miast oraz do rozwiniętych ośrodków Północy pociąga za sobą poważne zmiany dotychczasowego charakteru społeczności murzyńskiej. Bierni robotnicy rolni przekształcają się w wielkomiejski proletariatus, ich aktywność niepomiernie wzrasta. Oni to właśnie organizują uliczne manifestacje w największych miastach Ameryki, „kwestię murzyńską”, do niedawna sprawę Południa, czynią sprawą ogólnonarodową.

Na „liberalnej” Północy spotyka ich twarde segregacja mieszkaniowa. Jak dotychczas żadne ustawy państwowe nie są w stanie zapobiec powstawaniu

rozrastaniu się gett murzyńskich. Ludność biała tworzy te getta, odmawiając wynajmu mieszkań w dzielnicach „białych”, usuwając się z domów i dzielnic dokąd wprowadzają się Murzyni itd.

Potężnym czynnikiem segregacji mieszkaniowej jest ekonomiczne upośledzenie ludności czarnej. Według amerykańskich statystyk przeciętny zarobek Murzynów wynosi 52,5% zarobku białych. Do tej kolosalnej różnicy dodać trzeba fakt, że bezrobocie we wszystkich kategoriach zawodów jest wśród ludności murzyńskiej od 100 do 200 procent wyższe. I jeszcze jedno: w tabeli statystycznej zarobków pracowniczych 68% pracowników spośród ludności czarnej posiada zarobki najniższe, 31% średnie, te same pozycje u ludności białej wyglądają następująco: 45% i 51%. A w Ameryce tyle jest wart, ile zarabiasz, z tym jednak wyjątkiem, że czarny, aby osiągnąć „wartość” białego, musi zarobić dwa razy więcej od niego.

Z segregacją mieszkaniową łączy się na Północy faktyczna segregacja w szkołach publicznych. Na Południu zaś... W 1954 roku (dopiero!) segregacja szkolna potępiona została ustawowo. Ustawa sobie — życie sobie. Oto godna uwagi tabela statystyczna za rok szkolny 1962/63 ilustrująca stan integracji rasowej w szkolnictwie podstawowym i średnim w 10 południowych stanach:

	ogółem	Liczba uczniów murzyńskich zintegrowanych (uczących się wspólnie z białymi)	
		ogółem	wspólnie z białymi
Alabama	280.000	0	0
Arkansas	109.000	250	0
Georgia	328.000	44	0
Luisiana	297.000	107	0
Mississippi	288.000	0	0
Półn. Karolina	340.000	901	0
Połud. Karolina	259.000	0	0
Tennessee	161.000	1.817	0
Texas	310.000	6.700	0
Wirginia	221.000	1.230	0

I wreszcie sprawa praw politycznych. We wszystkich stanach południowych czynione są najrozmaitsze przeszkody uniemożliwiające ludności czarnej uczestniczenie w wyborach. Np. w ostatnich wyborach w stanie Alabama zaledwie 13% uprawnionych do głosowania Murzynów zdolało wpisać się na listy głosujących, zaś w stanie Mississippi — 5,3%!

Ta garść danych z kilku ważnych dziedzin życia społecznego ilustruje dostatecznie skalę dyskryminacji rasowej. Na Południu przybiera ona formy brutalnych ekscesów — na Północy zimnej walki ekonomicznej.

Ludność murzyńska USA liczy blisko 19 milionów, ponad 10% ogółu mieszkańców kraju. Pisarz murzyński James Baldwin pisał niedawno, że w przekonaniu tej ogromnej masy czarnych obywateli USA, wysiłki rządu zmierzające — w drodze ostrożnie wprowadzanego ustawodawstwa — do ograniczenia segregacji i przyspieszenia procesów integracyjnych wpływają nie z poczucia sprawiedliwości, lecz z nakazów politycznych konieczności. Istnienie państw socjalistycznych czyni z segregacji i dyskrymina-

cji rasowej skandal międzynarodowy gający na niekorzyść USA w „zimnej wojnie”. Obudzenie się Afryki, zabieggi Waszyngtonu o wpływ na młode państwa afrykańskie — to druga przyczyna dość stanowczych ostatnio wystąpień antyrasistowskich administracji Kennedy'ego. Dyskryminacja spotykająca ambasadorów i personel dyplomatyczny państw afrykańskich kompromituje politycznie USA nie tylko w Afryce, lecz również w Azji i Ameryce Łacińskiej gdzie, jak np. w Brazylii, dawno nastąpiła pełna inte-

gracja rasowa. Nie dobre serce władzy, lecz układ sił na świecie nam sprzyja — pisał Baldwin.

Przeciwko ustawom antysegregacyjnym w wielu stanach żywiłowo występuje ludność biała. Zdumiewająca jest potęga ciemnoty i przesądów w kraju, który osiągnął wyjątkowo wysoki stopień rozwoju ekonomicznego. Owe haniebne ekscesy i zacządzony stan umysłów fanatyków rasizmu można wytłumaczyć jedynie charakterem ustroju społecznego panującego w USA.

Włakowiczówna w Nałęczowie

W roku ubiegłym Kazimiera Włakowiczówna obchodziła piękną jubileusz 50-lecia twórczości poetyckiej. Obecnie w czasie pobytu wybitnej poetki w Nałęczowie poprosiliśmy o wywiad dla „Kamenu”.

P.: Czy zechciałaby Pani powiedzieć, jak się narodziła Pani poezja, jakie były jej źródła?

O.: O ile rozumiem, chce pan wiedzieć, kiedy zaczęłam pisać i dlaczego. Otóż zaczęłam w dzieciństwie pod wpływem gry towarzyskiej zwanej Sekretarzem Rymowanym. Otoczenie moje bardzo było dalekie od zainteresowań polską literaturą, za to bardzo wcześniej zaczęłam czytać rzeczy obcojęzyczne.

P.: Jaka jest — zdaniem Pani — użyteczność poezji dzisiaj, co Pani najbardziej w niej ceni?

O.: Większą przyjemność sprawia mi plastyka i muzyka niż dzieła pisarskie.

P.: Co Pani w swej liryce uważa za najcenniejsze, do których utworów jest Pani najbardziej przywiązana?

O.: Osobiście lubię w moich wierszach tylko ich „pamiętkowość”, tj. że mi przypominają konkretnie jakieś przeżycia, czy jakąś fazę życia. Do żadnego nie jestem przywiązana.

P.: Zwyczajność i niezwykłość, realizm i fantastyka, prostota i skomplikowanie, wielka powaga i humor — to nierozłącznie ze sobą splecione znamiona twórczości Pani. Czy są one spontanicznym wyrazem wyobraźni poetyckiej, czy ich źródła należy szukać gdzie indziej?

O.: Pewnie to jest przypadkowy konglomerat, rezultat bardzo urozmaiconego życia.

P.: Swego czasu otrzymała Pani nagrodę PEN-CLUBU za przekład „Anny Kareniny”. Czy liczne tłumaczenia Pani z literatury rosyjskiej, niemieckiej, węgierskiej i innych są wyrazem „powinowactw z wyboru”, czy rządzą tu inne prawa?

O.: Są to obstalunki, rezultaty rozmaitych gustów i zapotrzebowania redaktorów wydawnictw. Z przyjemnością tłumaczyłam tylko własne „Rymy dziecięce” na angielski. Inne rzeczy to po prostu ciężkie roboty.

P.: Jaka jest opinia Pani o literaturze współczesnej, o jej roli?

O.: Dla mnie pisarstwo wszelkie jest służką języka i z tego punktu widzenia jest godne uwagi — oczywiście specjalistów. To, co wzbogaca, urozmaica język, pomaga narodowi wyrażać się, jest chwalebne. Poza tym to szlachetna rozrywka, której zresztą ja, jeśli chodzi o konsumpcję, szukam gdzie indziej.

P.: Jakie wrażenia wyniosła Pani z Nałęczowa?

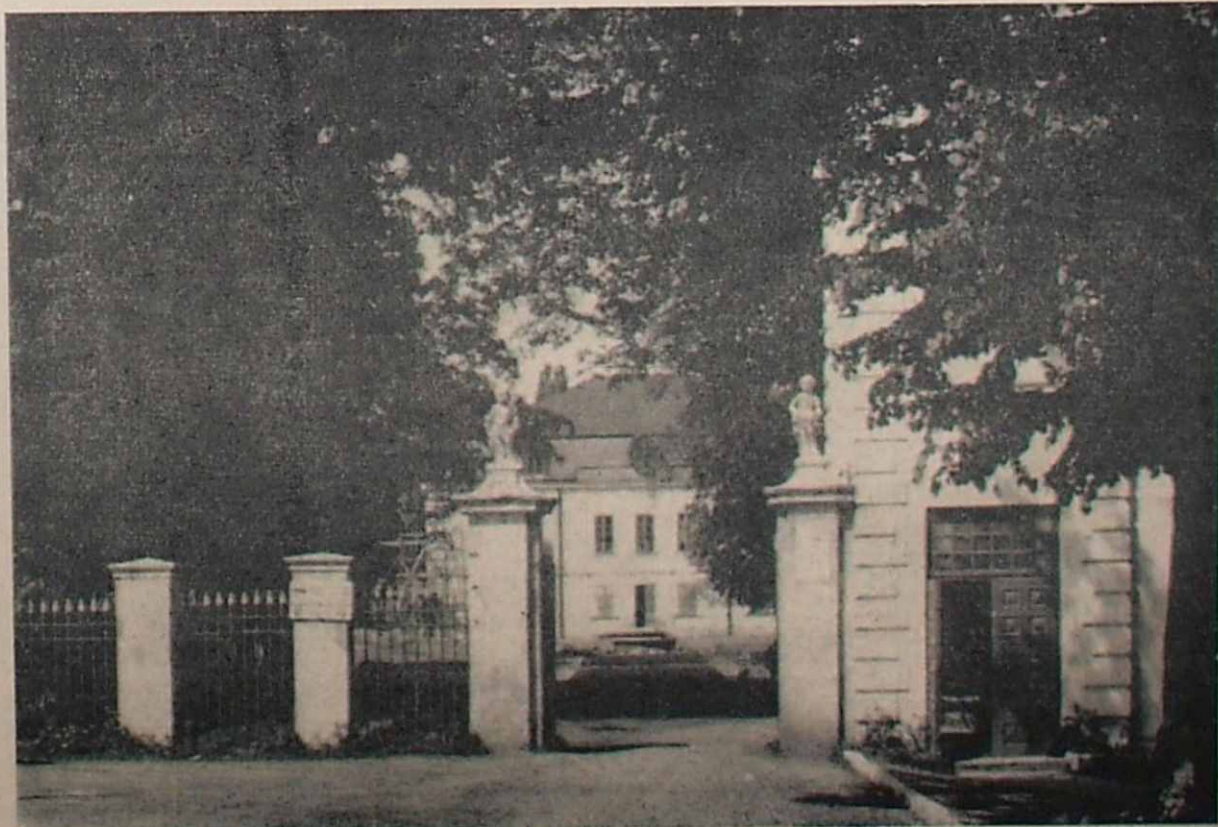
O.: W Nałęczowie zaimponować mogą czystość, cisza i doskonale utrzymane i funkcjonujące autobusy. Przyjemni są: Prus po jednej stronie, Żeromski po drugiej, a staw z łabędziami pomiędzy.

Rozmowę przeprowadził
Tadeusz Klak

Postscriptum Redakcji: Cieszy nas bardzo, że pobyt Kazimierzy Włakowiczówny w bliskim sąsiedztwie Lublina pozwolił „Kamieni” na ponowne nawiązanie kontaktu ze znakomitą poetką, której twórczość zawsze cechowały „szacunek dla człowieka i umiłowanie życia”.

Fot. H. Gawarecki

Brama wejściowa do parku w Nałęczowie



PRZYJAŹNIE
POETYCKIE

ANNA KAMIENSKA

PRZECZYTAŁAM właśnie bardzo interesującą książkę Konrada Bielskiego „Most nad czarną rzeką”. Ta lektura będzie dla przyszłych badaczy cennym materiałem dotyczącym lubelskiego życia literackiego, grup i inicjatyw wydawniczych w dwudziestolecium międzywojennym. Dla nas zaś, jeszcze nie tak bardzo oddalonych w czasie, niesie ona smak życia, atmosferę młodości pokolenia, powiekształbny, rodzicielski — i w sensie wieku, i w sensie szkół literackich, z których się wywodzimy. Książka ta przenosi nas w atmosferę młodości pokolenia, którego zasługą były wielkie przemiany literackie, przeoranie zastarzałych nawyków i gustów. My jako pisarze i poeci z ich trudu korzystamy.

Główny nurt awangardy brał początek z Krakowa, z peiperowskiego Krakowa, ale zbyt często zapominamy, że następnie wpływały doń jak do rzeki przeróżne strumienie i strumyki tworzące szeroką falę poszukiwań i prób nowatorskich. Strumienie te rozdziły się tu i tam na tzw. prowincji. Nurt lubelski był wcale nie ostatni, z niego wyszedł przecież jeden z najwybitniejszych poetów — Józef Czechowicz. Bardzo mnie wzrusza, gdy czytam u Bielskiego, jak to Czechowicz, podobno w łapciach, to już na wiarę Wacława Gralewskiego, wyszedł zastawiony za krzaka, aby wejść w środowisko lubelskich poetów, bardziej już od niego twórczo zaawansowanych, jak potem przyniósł im bladość i żenująco słabe młodzieńcze wiersze, aby następnie pojawić się niemal jednego dnia jako poeta świadomy swoich zamiarów artystycznych, dojrzały i stylizacyjnie uformowany.

Książki wspomnieniowe, takie właśnie jak książka Bielskiego, pokazują mechanizm ruchu literackiego przed wojną. W latach dwudziestych i trzydziestych, w warunkach o wiele dla kultury trudniejszych niż dzisiejsze, wydawanie pism, książek, inicjatywaebrań, spotkań literackich, dysput itd. była wyłącznie domeną przedsiębiorczości i odwagi energicznych jednostek. Aby zbadać głębię ruchu literackiego, trzeba nie tylko poznać teoretyczne i artystyczne wypowiedzi grup literackich, ale też trzeba by obliczyć, ile wypito kawy i alkoholu, ile godzin, ile nocy przegadano, przedyskutowano. Konrad Bielski pisze w pewnym miejscu, że czasem wydaje mu się, iż cały ów ruch literacki wraz z przyjaciółmi przegadali. Niepokój ten jest nieuzasadniony. To właśnie często to twórcze gaduły tworzą aurę literacką, klimat dla twórczości, dla sztuki. Kto wie, czy bez tego ciepłego, przyjacielskiego klimatu literackich dysput lubelskich mielibyśmy Józefa Czechowicza. Wprawdzie talent dojrzewał w głębi i samotności, ale jest rośliną delikatną, lubiącą uznanie najbliższych, okłaski, zainteresowanie, doping i podniecie żarliwości. TAM, GDZIE NIE

WIERZY SIĘ W POTRZEBĘ SZTUKI — SZTUKA NIE POWSTANIE. TAM, GDZIE POEZJA JEST TRAKTOWANA POGARDLIWIE I UWAZANA ZA NIEWAŻNĄ, TAM NIE POWSTANIE POEZJA. Odnosi się to oczywiście do ogólnej aury kultury, ale także do towarzyskiej strony literackiego życia.

Zastanawiam się często nad przyczynami braku literackich przyjaciół w naszym środowisku. Wydaje mi się, że dawniej było inaczej. Przyjaźnie literackie są przedmiotem badań historyków literatury. Listy zaprzyjaźnionych pisarzy wymieniających poglądy na temat sztuki i życia wydają się w opasłych tomach korespondencji. Czy jesteśmy o tyle gorsi od starszych pokoleń, że nie jesteśmy zdolni do bezinteresownych przyjaźni na gruncie sztuki? Bo jednak wierzę staremu Cyronowi, że do prawdziwej przyjaźni zdolni są tylko szlachetni. W jednym z wywiadów udzielonych przez Czechowicza, skarży się on również na osamotnienie, na złą atmosferę życia literackiego. Ale było to już w Warszawie. Czechowicz, który zanał przyjacielskiej atmosfery literackiego Lublina, tęskni do niej w Warszawie, rad wita w Warszawie każdego przybyszka z Lublina i lubelskiej prowincji. Jak wynika ze wspomnień Piętaka i Mrozowskiego, Czechowicz marzył o przeniesieniu i skupieniu w stolicy wszystkich bliskich sobie poetów z prowincji. Roztacza opiekę nad przyjeźdnymi, pragnie jakby oddać innym to ciepło przyjaźni, którego zakosztował sam w swojej literackiej młodości. To jeden z najsympatyczniejszych rysów poety lubelskiej prowincji, tak ostro odczuwającego odpychającego stołeczny snobizm środowiska literackiego i swoim skromnym salonem próbującego stworzyć jego przeciwagę.

Czytając książkę Bielskiego tego właśnie zazdrościmy jego pokoleniu: przyjaźni na gruncie sztuki i literatury. I jeszcze jeden rys znamienny. W sympozjonach literackich opisywanych przez Bielskiego nie sami literaci brali udział. Roi się tam od nazwisk znanych w Lublinie rodzin lekarskich, prawniczych, naukowców — między innymi i mój profesor Popławski, filolog klasyczny, nie stroni od atmosfery owych sympozjonów, są tu i malarze, i dziennikarze. Być może, że to właśnie jest oznaka prowincjonalizmu, owa integracja malomięskiej (bądź co bądź) inteligencji. Aptekarz, adwokat, lekarz i nauczyciel muszą się tu trzymać, są na siebie niejako skazani. Ale ta właśnie prowincjonalność, dzięki jej za to, daje podstawę społeczną dla współpracy i współżycia twórczych i żywych umysłów, rozszerza bazę doświadczenia kulturalnego twórców. Zamknięte środowiska zawodowe, zwłaszcza środowiska twórczej inteligencji, są czymś nienormalnym i stanowią podłoże przeróżnych wybujałych manii, jedną tylko z nich jest mania wielkości.

Książki wspomnieniowe, które mnożą się ostatnio szczęśliwie — dołączmy tu jeszcze świetną książkę Jalu Kurka „Mój Kraków” — tworzą zbiorowy hymn na cześć prowincji. Oczywiście autorzy widzą swoje życie poprzez mgłę, z jaką wspomina się miłośców. Ale literackie żywoty, nawet te, które zrezygnowały z prowincji i podążyły ku Warszawie — zachowują blask owych pierwszych środowisk prowincjonalnych, zafascynowanie pewnymi postaciami krzątającymi się żarliwie na własną rękę, przy pomocy tylko przyjacielskich jednostek — nad wypełnianiem pustych miejsc na mapie kultury, zabudowywaniem kulturalnych próżni. To samo mieliby o sobie do powiedzenia pisarze związani w młodości z prowincją wileńską i lwowską. Przy tym nie chodzi tu tylko o działalność, ile właśnie o śmiałość, odkrywcze umysły, wrażliwość na wszystko, co nowe, chwytające z powietrza niepokój twórcy swojego czasu. Nie zawsze ruchom tym towarzyszyły wielkie osiągnięcia i wielkie talenty. To są rzadkie dary. Często ci rokujący największe nadzieje, pozostają tylko znakomitymi gadułami i gawędziarzami literackimi. Nie wolno jednak nie doceniać ich roli. Trzeba o nich pamiętać i pamiętać z wdzięcznością, na jaką zasługują.

Nie pragnę bynajmniej powrotu do trudnego życia, z jakim borykali się młodzi twórcy sprzed lat trzydziestu kilku. Chciałabym tylko nawoływać do restytuowania i wskrzeszenia starej instytucji, niesłusznie dziś zarzuconej — instytucji przyjaźni ludzi pióra. Jest to instytucja może trochę starszościwiecka, trąci sentymentalizmem i korzyści z niej płynące nie są doraźnymi korzyściami dającymi się obliczyć. Ale bez niej jakże obronić się w pojedynkę drobniomieszkańskiej pogardzie i lekceważeniu sztuki?

WIERSZE POETÓW
RZESZOWSKICH

KRYSTYNA SZYMONOWICZ

Dolina w Rajskim Ave, łąko

Rajska dolina
Sanu przesleko zielona
pachnie w mojej pamięci
bukietem zmieszanych woni

łęczową płamą u stóp sennego kiwona
goryczą gałązek olihy, farbujące [ochrą
rybią łuską zawiewasz oślizgłą [i mokrą
i słodkim lenistwem pozłomek
dojrzewających na rudej polance

Ave łąko, ciszy pełna,
krzak róży z tobą,
błogosławiony owoc twojej ciszy


Witaj, miodzie konieczny,
rumianku białogłowy
i ty, irysie, co złotym pyszczkiem
[dyszysz

Tutaj stanęła szalona karuzela
tu wolno tylko milczeć, trwać,
[oddychać

Bierzesz mnie łąko w siebie
jak trzmiela
w głąb kwietnego kielcha

Dzień w domu

Patrz, kochanie, jaki szalony deszcz od rana
droga do domu zarosła całą błotem
i wszyscy na tej drodze ugrzęźli po kolana —
dziś sami zostaliśmy z książką, psem i kotem.



Rzeka w mlecznej sukience stanęła na progu
bez, pljany deszczem ślwę w objęcia chwyta —
a my w domu jak w ciepłym, wonnym stoku
będziemy szeptać, mruczeć, szczeleć, czytać

TADEUSZ PIEKŁO
Próba elipsy

TADEUSZ KUBAS
Podpromie

hodujemy z pietyzmem i cnoty [i wady
nosząc je chętnie w twarzach
oślepli i niemłi
rozgrzebujemy w sobie wewnętrzne [pokłady

dobywając się bólu
jak diamentów z ziemi.

znamy słowa z metalu kłamstwa
z mgły szczerości
zstępujący stopniami lat w piwnice [mroku

jaka jest chwila po nas
(gdy nas nie ma wokół)
między krwi rozpadaniem
[a próchnieniem kości

Wrosłe w ziemię
chaty — babuleńki,
okolone falbaną
oplotków,
ledwie niosą
nakrycia gontowe,
umierają
w kwitnących ogródkach —
u stóp naszej —
kosmicznej budowy.

ZDZISŁAW OSTROWSKI
Oświęcim obóz

przekręcenie kontaktu
— dobrobie jaśniejąca
przekręcenie kontaktu
— rozpętanie trwoży
kto nam oczy rozkleja
kto dźwięk w ciszę wtrąca
czy będzie pojmowanie gdy
[zabraknie drogi

w udawaniu troskliwi wciąż siebie [szukamy
jest w nas rozpacz posępna [i beztroska szczygła

chęć do pracy
modlitwy
żalu i zabawy

strunę życia cienutką z tkliwością [spalamy

w rozjarzonych do bieli dniach
(zwatpienia tyglach)
aż się w popiół rozsypie

użyźniając trawy

Te skrzywione znaki
strach
w płaszczyczkach wroku
te bukiety rak
odkryte w niepokój
gdy pociężone czołach
liniami zmarszczeń
kroplami spływa
ostatni pot.

WIEŚLAW KULIKOWSKI
Stół

LUDMIŁA
PIETRUSZKOWA

Epoda liryczna

BARBARA TONDOS
Dziewczyna II

I przyjdzie taki dzień
kiedy już wiesz
że wszystko było złudzeniem

jak cicho płatek śniegu
spokojem miękko opada

nie pamiętam już
barwy żalu
i kształt twoich oczu
z rak mi się wymyka
i jest tak
jak w chmurny dzień zimowy
gdy w śnieg oddall
biała przesterża pół
z niebem się jednoczy

jak cicho płatek śniegu
spokojem miękko opada

To nie był taki zwykły stół.
Trochę ze śpiewu był jasnego.
Leżała na nim słońca sól
i zieleniło się w nim drzewo.

Porównywałem go do ptaka,
bo nikt prócz mnie go nie zobaczył.
Mgła go na polach ustawiła,
gdy nasze oczy już pogasły.

Nigdy nie było na nim miejsca
na ślady wiatru i nienawiści,
lecz czas na kamień go zamieniał,
choć stały na nim kiedyś kwiaty.

W uśmiechu zawarła o jedną [gorzką kroplę za dużo —
dlaczego

Ponad nią przeszła wojna
mijał ją głód
śmierci nie dostrzegła

A jednak
w uśmiechu ma kroplę goryczy
która łądzi po wargach
tej zupełnie młodej kobiety
jak kulka trującej rtęci

dlaczego
ona nie podnosi oczu
na łodem pokryte i srebrne
gałęzie —

KONKURS
na pocztówkę

Klub Studentów Wybrzeża „Zak” w Gdańsku ogłasza dla studentów wszystkich wyższych uczelni w Polsce „KONKURS NA POCZTÓWKĘ”.

Udział w konkursie polega na nadesłaniu pocztówki z miejsca pobytu w czasie wakacji: z obozów wojskowych, z wczasów w kraju i za granicą, z praktyk wakacyjnych, z podróży autostopem itp. Wszystkie nadesłane pocztówki wezmą udział w ogólnej wystawie zorganizowanej w czasie „SPOTKANIE JESIENNYCH” w „Zaku” i stanowić będą barwną mapę studenckich podróży lata 1962. Jury przyzna nagrody w następujących kategoriach:

Pocztówka artystyczna,
pocztówka najbardziej pomysłowa (własne roboty),
pocztówka nadesłana z najdalej od Gdańska położonego kraju (miasta).
Pocztówki należy adresować: Klub Studentów Wybrzeża „Zak”, — Gdąnsk, Waly Jagiellońskie 1 — „Konkurs na pocztówkę”.

OD ATRYDÓW
DO HITLERA

ANNA TATARKIEWICZ

W TEATRZE Narodowym w Warszawie, inaczej mówiąc „u Dejmyka” — grana jest ostatnio z wielkim powodzeniem składanka antyczna: „Agamemnon, Elektra, Zaby”. „Elektra” Eurypidesa w nowym przekładzie Artura Sandauera ukazała się też w wydaniu książkowym. O samej „Elektrze” po tylu wiekach gloss i komentarzy trudno w ramach krótkiego przeglądu powiedzieć coś nowego, przypomnijmy tylko, iż niektórzy uważają twórczość Eurypidesa za schyłek tragedii greckiej. Wśród tych niektórych był także Fryderyk Nietzsche, za młodu autor rozprawy „O narodzinach tragedii”. Jest to zresztą jeden z najciekawszych głosów współczesnych na dany temat. Wobec coraz wyższego zainteresowania tragedią greką warto by może przypomnieć czytelnikowi polskiemu dziełko Nietzschego, zwłaszcza że jest przecież przekład — i to pióra samego Staffa. Wznowienie nie obyło się bez komentarza, który mógłby dać okazję także do głębszej oceny Nietzschego z naszej perspektywy intelektualnej i moralnej.

Wracając do samej „Elektry” nie podobna pominąć milczeniem przekładu Sandauera. Przekład ten, dokonany przez jednego z nielicznych znawców przedmiotu, rekomenduje się istotnymi walorami: jasnością, komunikatywnością, staraniem o prostotę, poziomem literackim. Jedną wątpliwość Sandauer, znany skądinąd jako wyznawca i prorok nowoczesności, tłumaczy starożytnego poetę wierszem *par excellence* XIX-wiecznym. Co ruz pobrzmiwają nam w uchu echa już to Słowackiego, już to Mickiewicza, już to, najczęściej chyba Ujewskiego. Mocno wybite rymy „leje — dzieje, tkacki — zasadki, miarka — gospodarka” itp. — kierują naszą pamięć ku obyczajowemu eposowi, niekiedy wręcz ku obyczajowej komedii XIX wieku. Osobiście mam wątpliwości, czy jest to najsluszniejsze rozwiązanie arcytrudnych zresztą problemów, jakie stawia przekład dramatów starożytnych. W naszym odczuciu są one całkowicie poza czy raczej ponadczasowi, czemuż więc kojarzyć ich z konwencją, która jest dla nas tak mocno związana z bardzo określonym czasem wczorajszym. Wydaje się, iż lepiej spełnia swe zadanie biały wiersz, użyty przez Stefana Srebrnego (mimo wszelkie rażące obciążenia młodopolskie), a najlepiej chyba — proza, z reguły w takich razach stosowana przez Francuzów (a także — jak pamiętamy — przez Jana Parandowskiego w wybitnym przekładzie „Odyssey”, przez Dygata, w dyskusyjnym, ale ciekawym jako próba przekładzie „Edy-pa”). Wydaje się, iż wobec renesansu dramaturgii greckiej na naszych i nie tylko naszych scenach — sprawa przekładów z greckiego zasługiwałaby na szersze przedyskutowanie w kompetentnym gronie.

Eurypides, podobnie jak jego nowoczesny kontynuator i współzawodnik, Racine — słynał jako znawca duszy kobiecej. Nota bene, od dawna już nie mówiło się tak wiele o równowartości, ale też i o odrębności psychiki kobiecej, jak przy okazji pierwszego lotu kobiecego w kosmos (przypominam wypowiedzi przywódcy kosmonautów, Gagarina, oraz trenerów). Odrębność tę można także obserwować w literackiej twórczości kobiet, jeśli tylko potrafią one pozostać naprawdę sobą. Dowodem siły, a zarazem swoistości kobiet, może być twórczość angielskiej nowelistki, Katherine Mansfield, jednej z najciekawszych w moim przekonaniu indywidualności kobiecych w literaturze. Czytelnicy polscy otrzymali stosunkowo niedawno dwa tomy jej nowel: „Upojenie” i „Garden party”, ostatnio zaś w popularnej serii Nike ukazał się „Dziennik” (wznowienie przedwojennego przekładu Teresy Tatarkiewicz). W jednym z ostatnich numerów „Nowej Kultury” Szelaż polemizował z opinią, jakoby współczesny czytelnik przekładał dokument nad literaturę, żądając na to dowodów rzeczowych, oraz twierdził, iż żaden dokument nie wyręczy literatury w jej specyficznym posłannictwie. Co do czytelników, bardzo szybko dostarczyli argumentu, o jaki wolał Szelaż, przynajmniej tegoroczny „Złoty kłos” właśnie

dokumentowi — „Pamiętnikowi matki Marcjanny Fornalskiej”. A co do wyróżności literatury i jej misji specjalnej — zgoda, z jednym wyjątkiem: że istnieją dokumenty, które są zarazem wysokiej klasy literaturą, że przypomnę tylko „Wyznania” Świętego Augustyna, „Wyznania” Rousseau’a, „Pamiętniki z za grobu” Chateaubrianda (nota bene jedynie naprawdę żywe dzieła tego autora), listy panny de Lespinasse, pani de Sévigné, czy króla Jana, „Dziennik” Pepysa. A wyobraźmy sobie, gdyby fak Szekspir zostawił był „Dziennik” czy „Pamiętnik”...

Takim właśnie przejmującym dokumentem, a zarazem wybitnym utworem literackim, jest „Dziennik” Katherine Mansfield. Autorka, ciężko chora na gruźlicę, na którą miała niebawem umrzeć, prowadziła swobodny dziennik — nie faktów swego życia, ale stanów duchowych, reakcji, postaw. A że były to stany i postawy istoty wyjątkowo wrażliwej, a zarazem — nie bójmy się w danym razie wielkich słów — bohaterskiej w walce ze śmiertelną chorobą, dziennik zarówno wzrusza, jak pobudza do zadumy. W ostatnich jego słowach Katherine Mansfield daje wyraz swej trudnej, dramatycznej afirmacji życia: „Czuję się teraz szczęśliwa — do głębi. Wszystko jest dobrze”.

Aby nie zadać kłamu tytułowi naszych notatek, przejdźmy do Hitlera. On sam i jego dwór są tematem wydanej u nas po raz drugi słynnej książki H. R. Trevora „Ostatnie dni Hitlera”. Mimo rozgłosu, jaki ta pozycja zdobyła, może ona wzbudzić nieco roz-

czarowania. W danym wypadku trzeba zgodzić się z zdaniem Szelaga: tego rodzaju dokumentalne opracowania nie zastąpią literatury. Trevor mówi bowiem z dużą znajomością o faktach, ale nie ukazuje ani genyzy społeczno-politycznej zia, ani też nie wnika głębiej w motywację psychologiczną. Tu by trzeba pióra Dostojewskiego albo Mann-a. O czymże zresztą innym mówi arcydzieło Mann’a, „Doktor Faustus”, lektura, do której zawsze, a zwłaszcza wśród wakacyjnego wolnego czasu — warto wrócić.

Z przekładów innego typu wymienić trzeba świeżo wydany, a trzeci już w ostatnich latach wybór noweli radzieckiej pl. „Tętno życia”. Szesnastu autorów, tyleż nowel, wyselekcjonowanych z bogatego plonu roku 1961. Wielka różnorodność wieku autorów, indywidualności, zainteresowań, problematyki, gatunków — od noweli typu „produkcyjnego” aż po czystą impresję poetycką. Ogólny rys, dominujący nad tą różnorodnością, to tendencja znane powszechnie z „nowej fali” filmu radzieckiego: odwrót od fałszywego monumentalizmu, zainteresowanie problemami moralnymi, kameralność nastroju, ukazywanie wielkich spraw w małym zwierciadle jednostkowych dramatów, tragedii czy rzadziej — sielanki, wzruszenie światem dziecka, zrozumienie dla świata młodych. W pamięć czytelnika wraża się szczególnie ostatnia, króciutka, ale głęboka i wzruszająca nowela: „Mój tata”. Uroczy portret małego dziecka, a obok tego ważki problem moralny: dzieci jako sędziowie rodziców. Pointa nowelki

pełna tęci. Mały chłopiec w świądkim, jak zwierznik ojca, musi do postętku niezgodności z sumieniem. Zacytujmy:

„Reka Genkowego ojca drgnęła, myślałem: „Teraz weźmie papier”. Skąd Genek, nie puszczając symbolicjnie dionę, postąpił krok naprzód, wyrzekł:

— Nie krzycz na nas! My się nie boimy... Prawda, tato?

A ojciec drgnął. Wyciągnął już niemal rękę po papier. Pomyślałem, że teraz cofnię ją. Powinien być cofnięty. Ale nie uczynił tego. Wziął papier, chwilę stał spokojnie, jakby odżywiał przystojność, wreszcie wyprostował się. Uwolnił z chwytliwych palców Genka drugą rękę i powoli, z namysłem podarł papier.

Szkarłatny rumieniec zalał twarz kierownika, w milczeniu odwrócił się i odszedł. A co najdziwniejsze, nie był już grzeczny, raczej złośny i zmięszany”.

Być może niejednym nasz czytelnik wygładałby inaczej, gdybyśmy w pełni uświadomili, iż każdy nasz gest śledzą i oceniają niewinne, a bystro i surowo oczy naszych własnych i cudzych małych Genków...

Eurypides „Elektra”, tłum. Artur Sandauer, PIW, str. 74.

Katherine Mansfield „Dziennik”, tłum. Teresa Tatarkiewiczowa, „Czytelnik”, str. 315.

H. R. Trevor Roper „Ostatnie dni Hitlera”, tłum. Kazimierz Fudakowski, Wydawnictwo Poznańskie, str. 283, wydanie II.

„Tętno życia”, tom opowiadań, PIW, str. 342.

NA SZYBACH księgarni czerwona farba obiecuje „Marino Marini”, „Dzieci Pireusu”, „Twist”. W środzku stoisko z czarnymi krząkami obłożone, choć przy innych, gdzie piętrzy się towar starego Gutenberga — pustawo. Jeśli tak dalej pójdzie, księgarnie trzeba będzie przemianować na płytiarnie, a księgarzy na płyciarzy. Zupełny triumf Edisonsa.

Ale wiadomości zaczerpnięte z pierwszej ręki powodują, że dotykam czarnego krązka z łękiem. Ten grający kręciolatek nabrał już co niemiara. Wszyscy go poszukują, lecz i wszyscy mają do niego jakieś pretensje. Młodzieńcze przyodzian w dzwonny gniewo się, bo madisona nabývá łącznie z przyklepioną po drugiej stronie poleczką; minister kultury — bo modne szaty psują mu klarowny nurt wielkiej Muzyki; minister chemii — bo kultura ciągle go krytykuje za złą jakość płyt. Najwięcej jednak narzeka „Pronit”, a ponieważ swoje argumenty przybrał w memoriał adresowany do najwyższych czynników w państwie — zaczniemy tedy od niego.

„Pronit” jest dużą fabryką chemiczną i znajduje się w Pionkach na Ziemi Kieleckiej. Od kilku lat jest jedynym w Polsce producentem masy do wyrobu płyt gramofonowych a przy tym najpoważniejszym wytwórcą samych płyt. „Pronit”, choć wokoło urzało od Gniadkowskich i Michotków, twistów i dżambolajów długo cierpiało w milczeniu. Wreszcie tama powściąpliwości pękła i przy okazji wspomnianego już memoriału do ministrów chemii i kultury, w sprawie uzdrowienia przemysłu fonograficznego w Polsce, dowiedzieliśmy się rzeczy nowych a pasjonujących.

Właściwie wszystko tu jest jak w klasycznym „Cydzie” Corneille’a. Konflikt miłości i obowiązku. „Pronit”, owszem, kocha czystą sztukę symfonii i etiud, ale też posiada określony obowiązek przekazywania państwu tzw. dodatniej akumulacji zwanej popolicie zyskiem. Wiadomo zaś, że muzyka dzieli się na poważną i lekką. Pierwsza przynosi producentom płyt deficyt mierzony w skali kraju płycianymi bublami w handlu na sumę około 80 mln złotych oraz takimiż u producentów szacowanymi na 30 mln zł, druga — chodliwa — dźwiży na swych barkach deficyt pierwszej, ratując ją przed ostateczną ruiną. Ponieważ w szanującym się kraju nie można puścić wszystkiego na żywioł rynku, czyli w tym wypadku przynajmniej do serca twórcy, a wykłacz etiudy i symfonie — tworzenie repertuaru obfituje w dramatyczne spięcia.

Dwie najpoważniejsze wytwórnie płyt w kraju: warszawska „Muza” i „Pronit” w Pionkach toczą między sobą wcale ostrą walkę o to, kto otrzyma do produkcji bardziej atrakcyjne melodiodzie. Rzecz charakterystyczna, że w owej walce nie ma wcale bezstronnego arbitra. Nie są nim agendy Ministerstwa Kultury zajmujące się polityką repertuarową, same bowiem są w tym

CHEMIA I MUZA
W POLSKICH NAGRANIACH

ANDRZEJ MAŁACHOWSKI

sporze jedną ze stron. Postarajmy się wyrazić to jaśniej. Otóż fabryka płyt otrzymuje gotową matrycę od podległego Ministerstwa Kultury przedsiębiorstwa Polskie Nagrania, zajmującego się ustaleniem repertuaru, doborem wykonawców i sporządzeniem wspomnianego pozytywu. Stosunek Polskich Nagrań do „Pronitu” i „Muzy” nie jest jednakowy. Polskie Nagrania nie są bezstronnym arbitrem, gdyż „Muza” stanowi ich własność, podczas gdy „Pronit” należy do chemii. Stąd tendencja, by „Muze” żywić towarami chodliwym, „Pronit” zaś karmić gorzej.

Sytuację znacznie komplikują niuanse polityki repertuarowej. Dbając o dochodowość swojej „Muzy”, Polskie Nagrania starają się przy tym spaść kądziela na ołtarzu sztuki. Robią to czasem z bardzo ociężałym wdziękiem. Kiedyś „Pronit” zaproponował, aby nagrać warszawskie ballady podwórkowe w wykonaniu niezapomnianego od twórcy stolecznego folkloru Stanisława Grzesiuika. Specjaliści od repertuaru zachnęli się: Grzesiuik to nie kultura. Dziś Grzesiuik już nie żyje i chyba tylko zapobiegliwe radio utrwaliło kilka jego kapitalnych piosenek.

Nie chcemy powtarzać plotek, ale ponieważ za tę informację bierze na siebie odpowiedzialność „Pronit”, nie jest to już chyba plotka. Otóż zdarzało się, że Polskie Nagrania używały niewybrednych chwytów. Pionki nawiązały pertraktacje z zagranicą i czekały już tylko na matrycę. Polskie Nagrania wlekały, wreszcie przysłały pozytyw na eksportową partię płyt. Niestety, pozytyw był tylko dla jednej strony płyty. Po awanturze nadeszła druga część, ale w stanie dyskwalifikującym całkowicie jej przydatność. Przypadek? Trudności obiektywne? W „Pronicie” nazywają to po prostu złą wola i chęcią odegrania się na konkurencję.

A więc z jednej strony właśnie repertuarowe, konflikt sztuki i ekonomiki, o którego realiach mówią wielomilionowe zapasy płyt, a z drugiej zapotrzebowanie na muzykę modną i lekką, o czym świadczą kolejki w księgarniach. Czy nie mamy dość siły, aby konflikty sprządnąć do przyzwolonych rozmiarów?

Co najmniej przesadą jest wyżywianie się grupki osób w tzw. polityce repertuarowej. Nie ma mądrego, który wytłumaczyłby, czym ta polityka ma właściwie być. Cenzurą modnych melodiodzie? Owszem, można to zrobić, tylko po co i w imię czego, bo takie filtro-

wanie nie zmienia przecież gustów ani nie przerobi twista na walca. Nieporozumienie bierze się stąd, że w odniesieniu do muzyki rozrywkowej wszelkie kryteria repertuarowe całkowicie zawiodą, o czym wielu zdaje się zapominać. Ten dział muzyki trzeba traktować mniej niż sztukę, a bardziej jak modę. Konsekwencją takiego podejścia powinno być pozostawienie producentom płyt wolnej ręki co do wyboru melodii i wielkości nakładu. Traktujemy muzykę lekką jak towar handlowy, pozwólmy, by żyła krótko, gdyż taki zawsze był los charlestonów, nie inny będzie twistów i madisonów. Przeto lekka muzyka niechaj robi akumulację fabrykom płyt, zaś repertuarowe grono, jeśli chce, może ją sobie wykłacz jako niegodną sztuki przez duże S.

Oczywiście ząnemu gronu pozostanie jeszcze bardzo wiele do roboty. Niechaj zajmie się repertuarom muzyki poważnej, niech zbada, jakie to tytuły tworzą nadmierne zapasy w handlu, i niech wreszcie troszczy się, aby ta twórczość nabycia utworów poważnych nie była równoznaczna z produkowaniem astronomicznej liczby poszczególnych egzemplarzy. Wszystko w granicach rozsądku.

Bardzo istotny spór kto ma korzystać z zysków przynoszonych przez muzykę lekką, a kto ponosi straty — tytuły powielania utworów poważnych — też chyba można rozstrzygnąć. Od dawna istnieje niedotrzymywanie w praktyce decyzji wicepremiera Szyłkowskiej mocą „Pronit”, „robi” muzykę lekką, a „Muza” — poważną. Propozycję wesprzeć tę decyzję sprawiedliwie podziałem strat i zysków, aby zadowolony wytwórca nie czuł się nadmiernie wyróżniona dochodami bądź przynajmniej strata. Ostatecznie obie siedzą w jednej państwowej kieszeni, więc tak zwana redystrybucja dochodów jest tu w pełni możliwa.

Jeśli w królestwie czarnego kręzka zapanuje wreszcie ład, można będzie obrócić wspólne siły dla dobra sprawnie i niezwykle aktualnej, jaką jest eksport. Eksport polskich płyt zdaje się mieć wiele nie wykorzystanych szans. Na świecie żyją miliony Polaków spragnionych ojczystej melodiodzie, zaś do ucha obco krajowców od lat torują drogę pełne sukcesów występy „Mażenki” i „Słaska”. Jest i festiwal w Sopocie, który trzeba traktować także jako reklamę polskiej piosenki. Wiele więc wreszcie zgoda w uspołecznieniu królestwie melodiodzie?

Lubelskie środowisko plastyczne

IRENEUSZ JAN KAMIŃSKI

LPIEC, tradycyjny miesiąc dokonywania bilansu osiągnięć i braków w pracy poszczególnych grup społecznych, w pełni uzasadnia poniższe uwagi dotyczące działalności środowiska plastycznego Lublina. Ostatnie dwanaście miesięcy przyniosło pewne ożywienie popularyzacji dorobku twórczego członków Związku, przejawiające się znaczną liczbą wystaw indywidualnych, zbiorowych i problemowych. Jeżeli w drugiej połowie 62 r. urządzono w Lublinie 11 ekspozycji, to pierwsza połowa br. zamyka się cyfrą 17 wystaw zrealizowanych przy współpracy ZPAP i BWA.

Ze względu na charakter i wartość pokazanych prac do najbardziej interesujących zaliczyć należy ubiegłoroczne wystawy: „Martyrologia i walka narodu polskiego w latach 1939–1945”, imprezę o zasięgu ogólnopolskim, a także „Wystawę Jesienną 62” i oczywiście „Wystawę 4 województw”. Otwartą w kwietniu br. w ramach współpracy kulturalnej Polski wschodniej zainicjowanej przez Wydział Kultury PWRN.

Wystawa spełniała swoją rolę, gdyż liczebność reprezentowanych dzieł (120) i ich poziom artystyczny dały realne możliwości przeglądu i oceny tendencji panujących w poszczególnych środowiskach. Wśród ekspozycyjnych prac plastyka lubelska nie ustępowała innym województwom, przeciwnie, zajmowała czołowe miejsce, a tacy twórcy jak Filipiak, Jedliczka, Nadulski i Kurzątkowski w malarstwie oraz Podciechowski, Strzałkowski i Szulcowie w grafice wzbudali znaczne zainteresowanie licznymi przybyłymi publiczności.

„Wystawa 4 województw” potraktowana jako miejsce dorocznej konfrontacji może spełniać doniosłą rolę w życiu artystycznym Polski wschodniej, ale tylko w tym wypadku, jeżeli rozumiana będzie jako punkt wyjścia do ścisłej i nie tak oficjalnej współpracy. Mam na myśli wzajemne „wizytowanie” się wystawami indywidualnymi i środowiskowo spotkania twórców, a może i krytyków.

Popularyzacja sztuki, przyciągnięcie widza estetycznie niewyrobionego i przekonanie go o wartości dzieła plastycznego, to cel, który miano na uwadze zawierając umowę pomiędzy CRZZ a ZG ZPAP. W ramach umowy CRZZ zobowiązała się do pomocy finansowej i organizacyjnej przy urządzaniu wystaw na terenie zakładów pracy.

Istnieją podstawy do stwierdzenia, że lubelski oddział ZPAP, chociaż z białą, ale wywiązuje się z przyjętego zobowiązania. Bez zbytecznego co prawda entuzjazmu zorganizowano wystawę w Chełmie, w świetlicy PKS w Lublinie, w FSC, w sklepie meblowym w Lublinie oraz w PGR w Machnowie. Obok braku szerszej inicjatywy ze strony Związku, istnieje cały szereg trudności nie pozwalających rozwinąć akcji na większą skalę. Przede wszystkim niechęć i niezrozumienie okazywane ze strony kierowników niektórych świetlic, traktujących wystawy jako zło konieczne i marnowanie czasu i pieniędzy. Sądzę, że w wypadkach szczególnie drastycznych plastycy powinni szukać oparcia i pomocy w dyrekcjach danych zakładów, a także rozwinąć swoistą „uświadamiącają” akcję odczytów związanych z wystawami i nie tylko z nimi. Dwie prelekcje, w Machnowie i Chełmie, to stanowczo za mało.

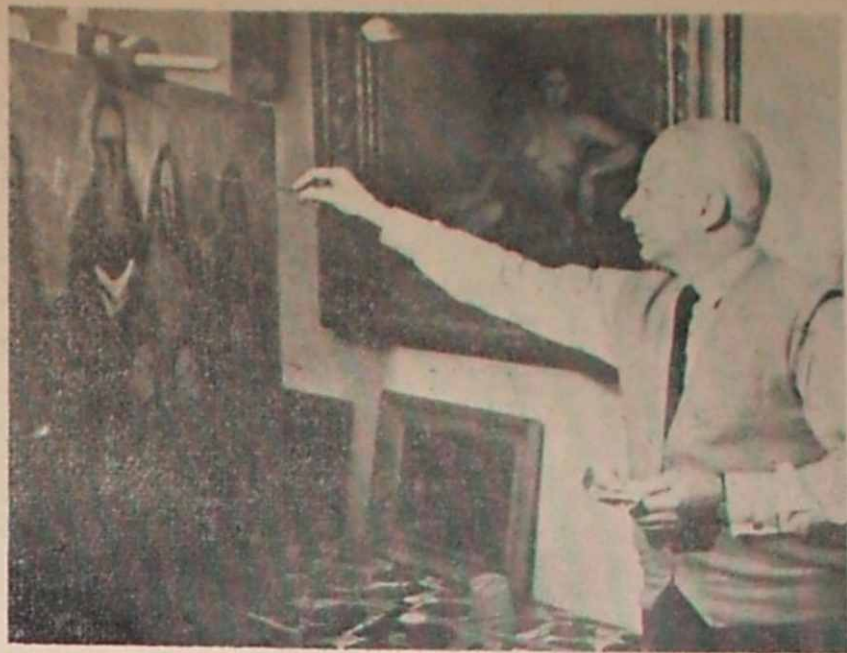
Niefortunnym pomysłem wydaje się być tematyczne dobieranie ekspozycji, ponieważ widz nie mając możliwości częstego oglądania podobnych wystaw skazany jest na „Krajobraz Lubelszczyzny”, „Kwiaty” czy „Martwą naturę”.

Zestawy winny być kompletowane pod kątem przypuszczalnych, lecz różnorodnych upodobań robotniczego widza. Oczywiście plastycy nie powinni jednak biernie „służyć” odbiorcy, lecz kształtować jego upodobania estetyczne, bo dopiero wówczas można mówić o sensowności omawianej akcji.

Przed kilku miesiącami pisałem o metodach współpracy warszawskiego CBWA ze szkołami Warszawy, postulując skorzystanie z doświadczeń wspomnianej instytucji i realizację ich na naszym terenie. Niestety — do dziś nie zaważyłem najmniejszego refleksu propozycji podsunętych w artykule „Naśladownictwo wskazuje”: Lubelski oddział ZPAP podjął zobowiązanie wykonania zestawu do nie istniejącej szkoły muzycznej 1900-lecia, podczas gdy w województwie mamy już 70 szkół 1900-lecia, a niemożliwość postępowania Związku uwytkła jeszcze fakt, że budynek szkoły w Stoczku Lukowskim wyposażony swymi obrazami plastycy warszawscy.

Wydaje się rzeczą celową zwrócenie uwagi Związku na możliwość obdarowania dziełami plastyki lubelskiego Studium Nauczycielskiego, jako pałocików kształcącej przyszłych nauczycieli, ludzi, którzy w przyszłości będą kształtować smak estetyczny najmłodszego pokolenia. Wskazany pośpiech — a nuż uprzedzi Szczecin!?

Sytuacja socjalno-bytowa plastyków lubelskich przedstawia się raczej dodatnio. Zlecenia bezpośrednio poszczególnych instytucji, zlecenia Wydziału Kultury PWRN i Pracowni Sztuk Plastycznych, które przerabiają 3 mln zł rocznie — zapewniają możliwą bazę materiałną. Jeśli dodamy 17 nowych pracowni przydzielonych plastycy przez Wydział Kultury PWRN, wówczas będziemy mieli pełny obraz sytuacji bytowej lubelskich twórców. Niewątpliwym bodźcem materialnym są również zakupy



Edward Nadulski w swojej pracowni

prac z poszczególnych wystaw. I tak z wystawy „Martyrologia i walka Narodu Polskiego...” zakupione zostaną dzieła za ogólną sumę 80 tys. zł z dotacji Ministerstwa Kultury i Sztuki; będą także zakupy z wystawy 4 województw.

Chcąc uzupełnić przegląd działalności plastyków naszego miasta należy wspomnieć o wystawach lubelskich na terenie innych województw, czy nawet krajów. Na jesieni ubiegłego roku w Anglii wystawiali Kononowicz, a w lipcu i sierpniu gościła na Węgrzech wystawa Olejnickiego; rozszerzony zestaw „Wystawy Jesiennej 62” serdecznie przyjęto w Łodzi, a następnie w Zielonej Górze; w lipcu br. na wystawie młodych w Sopocie widzieliśmy malarstwo i grafikę lubelskich — M. Urban, Z. i H. Szulców, A. Jedliczki oraz M. Oleszczuka.

Tak w ogólnych zarysach przedstawia się działalność wystawiennicza ZPAP i BWA, oraz działalność Wydziału Kultury PWRN w tym zakresie.

Obok tego zarysowuje się szereg problemów innej nieco natury, spraw związanych z samą twórczością, jej charakterem i funkcją w czasach nam współczesnych, w nowym społeczeństwie.

Około 30 lat liczy lubelski Związek Plastyków, skupiający obecnie 77 członków. Na przestrzeni tego okresu można wyodrębnić szereg tendencji artystycznych pozostających w ścisłym związku z przemianami w sztuce

ce krajowej i światowej, ze zmianami społecznymi i politycznymi.

Znaczące ożywienie twórczości nastąpiło po roku 1956, kiedy to powstała grupa „Zamek” skupiająca tzw. „nowoczesnych”. Plastycy tej nielicznej i nie istniejącej już grupy popadli jednak w krańcowo negujący wszystkie w sztuce, co miało jakkolwiek związek z przedstawianiem rzeczywistości istniejącej obiektywnie.

Wszystko wskazuje na to, że najwyższy czas zamknąć rozdział zapoczątkowany w Lublinie przez „Zamek”, że należy odrzucić quasi filozoficzną motywację, przywrócić w końcu godność postaci ludzkiej w sztuce i rehabilitować przedstawianie.

Nie oznacza to oczywiście negacji dorobku i osiągnięć sztuki potocznie określonej abstrakcyjną; sztuka ta spełnia swoją rolę i, jak wykazuje praktyka — zamknęła się w hermetycznym i estetyzującym kręgu. Historia sztuki mówi, że estetyzm oznacza ograniczenie do minimum funkcji społecznych w sztuce. W czasach nam współczesnych nie możemy sobie na to pozwolić, ponieważ istnieją problemy o znaczeniu „ontologicznym” decydującym.

Nikt nie ma zamiaru dawać recept na „dobrą sztukę”, bo przepisów takich nikt nie posiada. Każdy obiektywnie patrzący człowiek, bystry obserwator rozwoju sztuki, zauważy jednak zapotrzebowanie na twórczość, której naczelnym tematem byłby znów człowiek.

(Dokończenie ze str. 4)

pralek elektrycznych wpychają w ręce ulotki informujące o różnych zebraaniach, wieczorach, przedstawieniach zespołów amatorskich, balach wydziałowych. Wśród nich znajdują się również dystrybutorzy gazet i czasopism studenckich. Kupując „Parabolę”, „Kryk”, „Światłość”.

Gazety z rzadka tylko znajdują nabywców. Ulotki są bezpłatne, za czasopisma trzeba płać.

Pierre ma pełne ręce ulotek. Idąc, machinalnie przegląda tytuły. Palce po kolei mną papier za papierem. Pomietę galki Pierre rzuca pod nogi polejantom. Plac i okoliczne uliczki pokryte są grubą warstwą potarganych i pomiętych papierów.

Pierre idzie wolno, zatrzymując się co chwila przed kolorowymi afiszami, reklamującymi sztuki teatralne, film, występ jakiegoś piosenkarza, czy piosenkarki. Nie bardzo wie co wybrać z tego kuszącego barwnego kalejdoskopu. Często o wyborze decyduje rysunek plakatu, często dogodność miejsca, w którym odbywa się impreza. Bo wybrać Pierre musi. Perspektywa samotnego spędzenia wieczoru w swoim pokoju jest przerażająca. Pierre boi się samotności, a nie zawsze łatwo jest znaleźć miłą dziewczynę, która wtedy, gdy jest nudno, zgodzi się przyjść do waszego pokoju i wspólnie z wami spędzić wieczór. A przyjaciele ze studiów? — spytaicie. To też nie jest takie proste. Mimo pozornych silnych więzi brać studenckie, środowisko akademickie jest fałszywym kolektywem, fałszywą wspólnotą, w której w większości wypadków wyizolowana jednostka prowadzi egocentryczne życie. Prawdziwych przyjaciół nie zawiera się na studiach, zawiązują się one wyłącznie podczas wakacji.

Już w „naszej” kafejce, przy obowiązkowej filiżance czarnej kawy. Jacques próbuje wyjaśnić mi skomplikowany problem studenckiego życia kulturalnego. Tak więc regułą jest, iż o wyborze rozrywk kulturalnej decyduje prawie wyłącznie przypadek. Niebagatelną rolę odgrywa tutaj taniość imprezy i dogodność miejsca, w

STUDENT francuski r. 1963

którym ona się odbywa. Przeciętny student nie ma za wiele pieniędzy. Nie bardzo może sobie pozwolić na drogą imprezę. Tym też można sobie wytłumaczyć stosunkowo małą liczbę studentów regularnie uczęszczających do paryskich teatrów. Najpopularniejszą, a właściwie jedyną powszechną rozrywką kulturalną, jest kino. Takie inicjatywy, jak odczyty, pogadanki naukowo-kulturalne, nie cieszą się dużą popularnością. Wynika to ze zmiany, jaka zaszła w psychice dzisiejszego studenta na skutek postępującego procesu dehumanizacji, który już od dłuższego czasu daje się zauważyć w akademickich środowiskach.

Dziś młody człowiek traktuje studia jako zło konieczne, pozwalające mu w przyszłości na osiągnięcie pewnych korzyści materialnych. Pod tym kątem organizuje sobie życie. Rozrywki kulturalne są dla niego jedynie formą zabicia wolnego czasu. Modne jest hasło — „Kultura to zbrodnia, bo nie płaci”.

Czy stale pogłębiający się konflikt student — kultura jest zjawiskiem

normalnym? Na pewno nie. Niemniej jednak kształtuje go samo życie, determinowane ostatecznym celem, do którego konsekwentnie dąży przeciętny student francuski.

Wszystko to składa się na to, że student francuski jest typowym burżuazem. Jego zainteresowania na ogół sprowadzają się do spraw seksualnych, charakteryzuje go brak poważniejszych ideałów życiowych i wewnętrznej kultury. Czekając na chwilę, kiedy zda wszystkie egzaminy, skończy staż, zaczyna się urządzać życiowo, zarabiacie pieniądze, utrzymywać kochankę i kupować coraz to wspanialsze samochody. Jego codzienną lekturą są wyłącznie pisma sportowe i satyryczne komiksy.

W samym tylko Paryżu istnieje kilkadziesiąt pism studenckich. Są to dzienniki, tygodniki i biuletyny różnych organizacji i syndykatów. Jakże jest odciążanie tej prasy, jaka jest jej rola?

MICHEL nie jest zbyt gadatliwym. Jest dziennikarzem i zdecydowanie woli pisać niż mówić. Obecnie pracuje w „Etudiant de France”. Pismo to prawie wcale się nie sprzedaje. Rozdawane jest darmo każdemu członkowi U. N. E. F., ponieważ jest ono oficjalnym organem tego jednego z najpotężniejszych syndykatów studenckich.

— Moja rola — mówi Michel — ogranicza się tutaj jedynie do poprawiania tekstów i rozmieszczania ich w numerze. Do każdego numeru każdy wiceprzewodniczący przynosi mi swój elaborat. Wiceprzewodniczącym jest ośmiu. Do tego trzeba dodać jeszcze kierowników poszczególnych działów. To w zupełności wystarczy, aby zapisać numer.

I tak jest dobrze?

Michel długo nie odpowiada. Po chwili zaczyna mruczeć pod nosem.

— Oni potem przedrukowują te referaty w specjalnych biuletynach. Pismo jest tak nudne, że gdybym sam nie musiał, to bym go nie czytał. Artykuły to teoretyczne wypowiedzi na temat, jak powinna wyglądać organizacja studencka za lat dwadzieścia, względnie dotyczą struktury studiów w roku... 2000. Kogo to na dłuższą metę może interesować? W dodatku jeszcze ta koszmarne retoryka, jaką posługują się piszący w swoich artykułach.

Pomimo wielkiej liczby różnych czasopism studenckich nie ma ani jednego interesującego pisma akademickiego. Aby wydawać gazetę, trzeba mieć na to pieniądze, pieniądze to może dać tylko jakaś organizacja czy syndykat studencki. To już determinuje pismo, które staje się automatycznie polem do wyżycia się prezesów i wiceprezesów organizacji. Dlatego też pisma studenckie nie mają żadnego wpływu na młodzież studiującą.

WYPADALOBY zadać sobie pytanie, czy cała młodzież akademicka jest taka, czy każdego studenta można podciągnąć pod przedstawiony schemat. Na pewno tak nie jest. Istnieją organizacje, istnieją studenci próbujący coś robić. Takie np. koła naukowe działające przy poszczególnych wydziałach mogą poszczycić się poważnym dorobkiem. Są również zapaleńcy próbujący rozrzuścić życie kulturalne środowiska. Na nieszczęście ludzie ci nie są liczni. Ich inicjatywy giną w olbrzymim morzu obojętności, obojętności, która stała się filozofią życiową przeciętnego francuskiego studenta.

Zbigniew Domarańczyk

D WIE sprawy najważniejsze nadawały ostatnio oblicze prasie tygodniowej: rocznica PKWN i refleksje publicystyczne związane z XIII Plenum KC PZPR.

Polityka, publikując rocznicowy numer poświęcony częściowo Ziemi Lubelskiej, rozpoczyna cykl pt. „Polska siedemnastka”. Ukazuje on punkty wyjścia i dwudziestoletni dorobek wszystkich naszych województw. Dowiadujemy się z „Polityki”, że woj. lubelskie zajmuje tu 8% powierzchni kraju, zamieszkuje tu 6,1% ludności; w 1946 w miastach mieszkało 15,6%, na wsi 84,4%, w 1961 25,2% w miastach, 74,8% na wsi. Województwo dało w 1961 r. 2,7% globalnej krajowej produkcji przemysłowej, co w przeliczeniu na złotówki daje 14,3 mld złotych; rolnictwo dało w tym czasie 20 mld zł.

Te dane są wstępem do interesującego reportażu A. K. Wróblewskiego „Profan i czarodziejka” (o sprawach chemii i puławskim kombinacie azotowym).

Bardzo ciekawa jest wypowiedź I sekretarza KW PZPR — Władysława Kozdry zatytułowana „20 rok”. Oto jej zakończenie: „Osobiście cieszę się z tego, że mogłem razem z całą organizacją lubelską przeżyć te lata, razem z nią formować nowe metody pracy i nowe, bezpośrednie, zrozumiałe i zgodne z tradycjami ludowej samorządności więzi partii ze społeczeństwem — te więzi, które sprawiły, że dążenie do gospodarczego i kulturalnego rozwoju województwa oraz ukształtowania nowych, socjalistycznych stosunków współżycia społecznego stało się wspólnym programem działania całej organizacji partyjnej i najszerszych rzesz ludności Lubelszczyzny”.

Obfity materiał związany z lipcową rocznicą przynosi Życie Literackie. W. Machejek w artykule „Jedność i suwerenność narodu polskiego” omawia wydany niedawno tom artykułów i

przemówień Władysława Gomułki. Ten sam numer przynosi początek interesującego cyklu „Moje dwudziestolecie”. Pierwsze wypowiedzi: K. Wyki „Kraj pełen tematów”, J. Zagórskie „Doświadczenia” oraz J. Kawalca „U źródeł wzruszeń” — pozwalają się spodziewać materiału ciekawego, przynoszącego często osobiste i subiektywne, ale świeże spojrzenie na różne sprawy ostatniego dwudziestolecia.

W Kulturze B. Czeszko podejmuje problemy związane z ostatnim Plenum. Autora interesują szczególnie sprawy twórczości artystycznej zawarte w wystąpieniu W. Gomułki.

„Mamy do czynienia bowiem z dokumentem charakteryzującym się wielką godnością i powściągliwością sformułowań i byłoby zaprzeczeniem tej godności topienie jej w jarmarczonym zgłębieniu rynku, na którym krzyżują się i ścierają interesy nieraz bardzo prymitywne, postawy i kariery nieraz bardzo wątpliwe. Odczytuję oto, ku mej niemalej satysfakcji, utwierdzenie i kontynuację tych zdobyczy ideowych, które ruchowi robotniczemu w ogóle, a więc i w szczególności twórcom z nim związanym, przyniosł zmierzch stalinizmu”.

I dalej:

„...spotykamy się ze stwierdzeniami potwierdzającymi swobodę poszukiwań twórczych, prawo do eksperymentu, nieingerencję w sprawy warsztatu, ze stwierdzeniami, w których zawarta jest niechęć do literatury schematu i prymitywu; jeśli tak jest, to usnąc wypadnie, że zasadnicze, najistotniejsze dla życia literatury warunki zostały już dawno załatwiczone, że stały się integralną częścią ideologii socjalistycznej”.

Od innej strony podejmuje problem Plenum w Polityce S. Wygodzki w wypowiedzi „Pisarz i obywatel”. Zastanawia się on nad związkami takich pojęć jak pisarz — obywatel — polityk.

„Biada pisarzowi, który przemówi językiem polityka. Nie zostanie nim, ale natychmiast przestanie być pisarzem. I biada pisarzowi składającemu deklaracje polityczne. Nie tego oczekuje od pisarza czytelnik, a więc również i ów działacz polityczny, który widzi w twórcach sojusznika, towarzysza, przyjaciela.”

Sojusznika, towarzysza, przyjaciela, który czasem mówić będzie z cieniem wątpliwości i ściszym głosem, gdy będzie się jeszcze lamal ze swymi trudnościami, gdy będzie się jeszcze przedzierał przez gaszące ludzkie sprawy, ludzkie wahań, zwątpień, nadziei, wzdławów i upadków.

Bo coż to za twórca, któremu obey będzie wysiłek i trud poszukiwań, penetracji, drażenia”.

Prasa doniosła także o przyznaniu dorocznego nagród ministra kultury i sztuki. Z satysfakcją możemy odnotować, że w dziedzinie literatury nagrodę pierwszego stopnia otrzymał Jarosław Iwaszkiewicz za powieść „Sława i chwała”.

T. K.

ŚWIERSZCZYK dla DOROSŁYCH

K IELECKI Teatrzyk Dziennikarzy i Aktorów ma dobrą prasę. Nie jest to solidarność środowiskowa, choć, jak dotąd, jest to jedyna tego rodzaju scenka stwarzająca okazję wypowiedzi scenicznego obu trybów środowisk. Podstawową cechą wyróżniającą program artystyczny realizowany tutaj jest autentyczny twórczości scenicznej. Autentyczny szeroko zresztą pojęty. Raz będzie nim dramaturgiczne uszeregowanie zapisów reportera przemierzającego prowincję śladem ludzkich losów splecionych w węzeł dramatyczny. Tak zrodził się pierwszy program teatru — „PIĘĆ PYTAŃ”. Kiedy indziej sceniczna wyobraźnia pobudzona zostanie pamiętkami i znanymi Hoessa i Eichmanna, materiałem pamiętnikarskim ułożonym w ciąg o wyraźnej wymowie.

Ryszard Smożewski, twórca kieleckiej scenki, jej spirytus movens, swój stosunek do rzeczywistości, swój program artystyczny stara się wypowiedzieć poprzez dramatyzację tekstów wiodących swój niezależny żywot w granicach innych rodzajów pisarskich. Obdarzony jakimś dodatkowym zmysłem, Smożewski penetruje te teksty, odkrywa ich podskórne warstwy, dramatyzujący rytm dostrzega w tekstach, zdawało by się, nie mających nic wspólnego ze sceną, adaptuje je i nagle zaczynają żyć na scenie. Kryje się w tej metodzie ryzyko związane z ograniczoną pojemnością tego rodzaju tworzenia. Ich źródła bowiem gotowe z czasem wyschnąć. Przekonany jednak jest, że dzisiejszy adapter jutro może okazać się autorem dramatycznym, wykorzystującym z powodzeniem swą wiedzę dziennikarską i rysunki adaptacyjne. Przecież trzeba, że Ryszard Smożewski zna doskonale prowincję, zna rytm życia w małym miasteczku. Dowodem reportaż sceniczny „PIĘĆ PYTAŃ”, nagrodzony na konkursie Ateneum.

Wyniki tych poszukiwań przedstawiają

się dla widza interesująco, otrzymuje bowiem tworzywo sceniczne z materii o nieprzeczwanej atrakcyjności. Wystarczy wspomnieć, jak nieoczekiwanym walorem scenicznym wykazały się teksty listów pisanych do Teresy z „Dookoła świata”, na których oparty został program teatru — „ROMEO I JULIA ZA CZWARTYM FALOCRONEM” nawiasem mówiąc — program świetnie przyjęty przez Lublinian.

Ostatnią, czwartą z kolei premierą kieleckiej scenki jest program satyryczny „ZAMEK NA SZKLANEJ GÓRZE”.

Scenariusz oparty w całości na tekstach „Świerszczyka” pozwolił Ryszardowi Smożewskiemu na stworzenie wespół z Wiesławem Barańskim i Ryszardem Podlewskim, program o wyraźnym ostrym satyrycznym wymierzonym w postawy ludzi uznających hasła „małej stabilizacji” za naczelną maksymę życiową, której realizacji należy się poświęcić nie oglądając się na nic. Włożone w usta negatywnych bohaterów naszych czasów — kibiców — z zasady nie angażujących się zbyt poważnie, więźniów — pensjonariuszy z powołania, tancerzy — dostosowujących swój krok do każdego tańca, teksty z dzieciecego piśmka nabrały ostrości i określonej wymowy społecznej.

Wykonawcy, studenci krakowskiej szkoły aktorskiej, pod kierunkiem reżyserskim Haliny Gryglaszewskiej i R. Smożewskiego utrzymali program w klimacie swobodnej zabawy, lekko podając kapitalne pomysły. Scenariusz składa się z szeregu obrazów oddzielonych balladami. Muzykę do nich skomponował Zygmunt Konecny, młody krakowski kompozytor współpracujący z „Piwnicą pod Baranami”. Ballady, których teksty również wzięto z tego samego źródła, stanowią bardzo pomysłowy kontrpunkt muzyczny i poetycki. Scenografię zaprojektował Piotr Wollenberg.

Scenka kielecka jest instytucją ruchliwą, często są jej przedstawienia w terenie, takim, nawet, gdzie nie dotarł jeszcze „normalny” teatr dramatyczny. Świeży widz przyjmuje bardzo dobrze teatr niekonwencjonalny, postępujący się więcej niż skromnym rekwizytem, zarysem scenografii, oszczędnym kostiumem aktorów. Te perigracje po prowincji godne są szczególnego uznania. Odbывая się je teatrzyk sprawdza swe założenia artystyczne, konfrontuje je z reakcją cennego, bo nie zmanierowanego widza. Obserwowane tam reakcje na pro-



Zbigniew Podciechowski — Pejzaż (serigrafia)

DRAMATY

N I E ma spokoju na płaszczyźnie białoczarnych powierzchni, nie znajdziesz na nich śladu akademickiej poprawności i „klasycznej” harmonii — pełne dramatycznego napięcia emanują głębia przeżyta przeżonego na kruchy materiał papieru.

Od tragicznych i okrutnych problemów „Brygady śmierci”, od upiornych cieni o wielkich ciemnych oczodolach wołających o pamięć niedawno minionych zdarzeń, poprzez wyrafinowane formy „Mikroświata” i biologiczne „Ślady zbrodni” — do problematycznie socjalistycznym zawartych w budownictwie socjalizmu („Turów”, „Nowa Huta”).

Dramatyzm grafiki Z. Podciechowskiego wyraża się poprzez swoiste potraktowanie formy; nie spotykamy tu szerokiej jednolitej płaszczyzny, czy nie zakłóconej nierzemi kryształ. Jeżeli większa plama, to złożona z wyraznych, mniejszych, dających w efekcie owa

plynną powierzchnię. Kreska nerwowa, poskręcana i przerywana biegnąc w innym kierunku — mimo to wydobywa kontur czytelny i jednoznaczny. Niezwykły w swej oryginalności „Rurociąg przyjaźni”, z przekątną olbrzymiej rury i majaczącymi sylwetkami ludzi, sprawnie wrażenie tajemniczego, rozedrganego świata.

Twórczość Podciechowskiego, o ukształconym profilu, dojrzała, posiada jeszcze jeden aspekt mimochodem już wspomniany — wiąże się ze sprawami tego świata, tak minionego, jak i współczesnego.

A że nie masz tu częstej gadaniny i plakatuowej propagandy, lecz są dzieła mu służące do refleksji, przykuwające uwagę i aluzyjnością opracowania — tym lepiej, bo właśnie te ostatnie cechy stanowią o współczesnych środkach wyraża plastycznego.

Interesująca ta wystawa, na której eromadono ponad 60 rysunków, monotypii, serigrafii, nitroxylografii i prac wykonanych techniką mieszaną, otwarta była w Lublinie w dniach od 18 do 31 lipca br. w salach wystawowych BWA.

I. J. Kamiński

ponowany kształt spektaklu dają jego twórcom satysfakcję na pewno nie mniejszą od oklasków gości premierowych. Potrzeba szukania nowych kręgów odbiorców, wyjścia poza ramy własnego środowiska — warte są podkreślenia. Czynnikiem bowiem przedsiwzięcie kieleckiego teatru zjawiskiem o określonej pojemności.

Teatrzyk Dziennikarzy i Aktorów — Klub SDP — Kielce. „Zamek na szklanej górze” — program satyryczny w całości oparty na

tekstach ze „Świerszczyka” przygotował: Wiesław Barański, Ryszard Podlewski, Ryszard Smożewski. Inscenizacja i reżyseria: Halina Gryglaszewska i Ryszard Smożewski. Muzyka: Zygmunt Konecny. Scenografia: Piotr Wollenberg. Wykonawcy: Teresa Lipowska, Janina Skotuba, Andrzej Podewicz, Krzysztof Kumor, Eugeniusz Nowakowski, Janusz Nowicki.

Wiesław Głowacz

CENNA INICJATYWA

O DNOTOWUJĄC wystawę kilkudziesięciu olejnych płócien W. Filipka w Dzielnicowym Domu Kultury na Bronowicach chcę zwrócić uwagę na pewien aspekt podobnych ekspozycji urządzanych na peryferiach miasta, nie mniej istotny od wartości artystycznej pokazanych prac, tym bardziej, że twórczość Filipka znana jest mieszkańcom Lublina, a „bronowickie” obrazy były omawiane i wartościowane przez krytykę przy innych okazjach.

Zasadniczy cel urządzania wystaw plastycznych poza śródmieściem miasta wiąże z funkcją propagowania i popularyzacji sztuki w środowisku robotniczym, co w efekcie może przynieść szersze zrozumienie twórczości malarskiej, graficznej czy rzeźbiarskiej, może zapelnic centralne sale wystawowe, stanowi w końcu jeden z czynników podniesienia poziomu kulturalnego warstw społeczeństwa, które do niedawna były skazane na intelektualną węgietację.

Może, ale nie musi! Nie wystarczy powiesić obrazy na ścianach w klubie, ponieważ po kilku minutach zainteresowania stają w banalnym szeregu codziennych, nudnych

przedmiotów, nawet gdy ich wartość artystyczna znacznie wybiega ponad przeciętność.

Jeżeli istnieją fundusze na nagrody dla zwycięzców klubowych turniejów szachowych, czyż nie można „znaleźć” kilku nowych na urządzenie zgraję-zgraję polskiej sztuce, czy naprawdę szczytem trudności jest zorganizowanie prelekcji o plastyce, a o danej wystawie w szczególności? A spotkania z autorami ekspozycji przy urządzane w formie bezpośredniej dyskusji zbliżających artystę do robotniczego widza?

Lojalnie należy stwierdzić, że prelekcja o wspomnianym charakterze zorganizowana przez oddział lubelski ZPAP w świetlicach przyzakładowych zostały zrealizowane. Jest niestety — ilość ich w pierwszym półroczu br. zamyka się wcale niebudująca cyfra — 21.

W tytule niniejszej notatki umieszczone słowo — „Cenna inicjatywa”, bo taki popularyzacja plastyki w środowisku robotniczym jest oczywiście zjawiskiem nader pozytywnym i godnym kontynuacji, choćby jednak o formy i metody zdobył się nowy widza, a te, z którymi spotkać się dożyteczas, uważam za niewystarczające. Jedynym przykładem dobrej roboty jest wspomniany na początku Dzielnicowy Dom Kultury na Bronowicach.

I. J. Kamiński